Rok XX. We Lwowie, dnia 6. grudnia 1912. Nr. 49.

Gazeta Kościelna

Przedplata: roczna . . 11 Kor.
półroczna . 6 „
kwartalna . 3 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIECONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycja: Ks. Dr. A. Pechnik, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Nowe hasła i dążenia socyalizmu polskiego.

Przemiana, która panuje w całym świecie, wiekuiste prawo zmienności i znikomości wszystkiego doczesnego dotyka i socyalizmu. Na „niewzruszonych" zasadach „naukowych" oparty, spoczywający na podstawach istotnie nadzwyczaj silnie i sprytnie obmyślanej organizacyi, przecież podlega też starzeniu się i musi się odmładzać — a czerpie swe nowe soki ze skarbów, wyhodowanych przez wzgardzoną indywidualność narodową. Nie mówimy na razie o stosunkach w Austryi, gdzie rokosz bezwzględny przeciw wiedeńsko-niemieckim żydkom podnieśli socyaliści czescy („separatyści—autonomiści") a przeciw tutejszym papieżom socyal-ukraińcy. Nie mówimy o pruskich stosunkach. Zajmiemy się stosunkami w Królestwie polskiem. Królestwo bowiem jest zawsze sercem narodu a zwłaszcza dla socyalizmu, jako środowisko wybitnie przemysłowe w porównaniu z innymi zaborami. Na Litwie i na Rusi socyalizmu polskiego niema, stał on się tam tak „krajowy", tak rosyjski, jak różni pp. Korwin — Milewscy et Co. Socyaliści Królestwa nadają ton całej polskiej „robocie" socyalistycznej. Socyalizm tamtejszy opiera się na robotnikach fabrycznych, nie na fiakrach, fryzyerach i czeladnikach, jak galicyjski. Akcya skupia się w związkach zawodowych, tajnych, przeto ekonomicznie słabo działających i w pracy rewolucyjnej, to też prasa socyalistyczna, importowana lub też w podziemiach wydawana, ma znamię czysto frazesowo—teoretyczne. Mózgiem socyalizmu jest wychodźtwo — krakowskie centrum emigracyi oczywiście najliczniejsze, — zresztą pełno socyalistów — królewiaków, od Londynu do Lwowa. Są to „fachowi" socyaliści, ludzie, utrzymujący się z socyalizmu i młodzież akademicka. Wśród polskiej młodzieży akademickiej może być około 1600 zwolenników i członków stronnictw socyal. Kr. Pol. Ci pajdokraci stoją u steru polskiego socyalizmu nie od wczoraj. Żydzi-robotnicy Król. Pol. mają swój „Bund", stojący poza ramami pol socyalizmu.

Socyalizm Król. Pol. już w epoce tak ciężkiej dla jakiejkolwiek myśli nie carosławnej jak doba rewolucyjna, tj. przed r. 1905 uległ zasadniczemu zróżniczkowaniu się. Większość pono socyalistów nie chciała być filią socyalizmu rosyjskiego (jak nasi galicyjscy są filią austryackiego) ale utworzyła partyę samodzielną, P. P. S. Inni byli tylko filią socyal-demokracyi ogólno państwowej, S. D. Król. Pol. i Litwy.

Pod tytanicznymi razami Japończyków runął nimb caratu — rozpętała się rewolucya. Znane są te straszne dzieje, orgie bratobójczych walk, bezcelowych, bezplanowych porywów. Okres bandytyzmu. Narodowa Demokracya przeciw wszechwładnie panoszącemu się socyalizmowi powołała do życia Narodowy Związek Robotniczy (N. Z. R.). Reakcya zaś w samem łonie socyalizmu wywołała rozbicie P. P. S. Partya ta, mimo wszystko okazała się zarażoną jadem żydowsko- rosyjskim. W działaniu jej objawiał się nihilizm, w liniach wytycznych oryentacya rosyjska, w chwilach niepowodzeń, cofanie się tchórzliwe. O S. D. niema co mówić. Jak były esdek w „Przedświcie" opisuje (pseud. Sedecki), była to partya, utworzona na organizmie polskim przez Litwaków, by zniszczyć dwie przeszkody dla mrowia żydowskiego: nasz przemysł i nasze poczucie odrębności. „Uczeni" esdecy zawyrokowali, że jest przeznaczeniem Polaków na wieki tkwić w organizmie państwowym rosyjskim! Nic dziwnego, że z takiego posiewu ideowego wytworzyły się męty r. 1905/6. Ale większość klęsk tych lat należy zapisać na rachunek. P. P. S. To też ludzie, czujący po polsku, wystąpili w r. 1906 z P. P. S., tworząc Frakcyę Rewolucyjną P. P. S. Wnet później Frakcya umiarkowana, t. zw. Lewica, któ-

ra zatrąbiła na odwrót rewolucyi, weszła w bój z „Frakami“ (F. R. P. P. S.) o nazwę. Obie te partye zowią się P. P. S., obie wydają „Robotnika“ i walka zażarta trwa po dziś dzień. „Lewica“ uznała za przyczynę klęski 1905/6 brak organizacyi robotników. Przeto przystąpiła do organizowania się na polu zawodowem, do organizacyi ekonomicznej. Sprzymierzeńców szuka w ruchu robotniczym rosyjskim, przeto skreśliła postulat niepodległości Polski, dawnej P. P. S. Chce tylko autonomii (choć nie tak haniebnie skromnej, jak S. D.). Po żydowsku umieli ci „Towarzysze“ dostosować się do warunków życia. Już w III wyborach do Dumy brali udział i do tej Dumy wnosili petycye o prawa robotników. Czemuż nie przyjęli ich Socyal-Demokraci? Jeden z socyalistów (w „Placówce“) określił S. D. jak żonglerów, frazesowiczów, pełnych cytatów, połapanych z broszurek, w rzeczywistości bezmyślnych, mydlących swe ubóstwo umysłowe zachwytami nad „żywotnością“ rewolucyi rosyjskiej. — Czyny ich to oportunizm krajowy, ale gęba pełna frazesu rewolucyjnego,— Otóż „lewicowcami“ brzydzą się S. D. jako „organicznikami“ i antyrewolucyonistami, ale kierownikom chodzi o dochody, jakich im dostarczają robotnicy a do niedawna najsilniejszą partyą radykalną Król. Pol. była właśnie S. D. Do niedawna, gdyż w grudniu 1911 zwolennicy warszawscy podnieśli bunt przeciw rządom kliki (nawiasem mówiąc: żydowskiej) w sztabie S. D. W całej Warszawie zostało 27 „prawowiernych“, jak ich przeciwnicy nazwali. Pojawiły się zatem dwie „Gazety robotnicze“, dwie pieczątki „S. D. K. P. i L.“, podejrzenia o działalność w służbie ochrany — rozłam jest faktem. Dziś rzekomo starzy esdecy znowu odzyskali robotników warszawskich, liczą ich na 1000, z tej cyfry atoli śmieją się inni socyaliści. I tak na lewicy socyalizmu święci swe tryumfy marność ideowa, rozbicie i prowokatorstwo.

Innymi szlakami poszedł socyalizm F. R. P. P. S. Bojowy od urodzenia, skrajnie rewolucyjny, przecież również, jak „lewica“, musiał zatrąbić do odwrotu. Bo mu brakło żołnierzy. Jedni rycerze rewolucyi poszli na bandytów, drudzy w mogiłę lub na katorgę. Ci, co przeżyli rewolucyę, uszli za granicę, a byli to oczywiście sami prawie inteligenci — sztabowcy. Szeregowcy bojówek niektórzy pochowali się po kryjówkach, inni stępieli i zobojętnieli na wszystko, to też jako partya F. R. P. P. S. jest już niemal zerem. Zostali jednak pod sztandarem wielcy socyal-rewolucyoniści, ubóstwiani przez szerokie masy literaci (Żeromski, Sieroszewski, Strug) uczeni, pisarze, agitatorzy (z galicyjskich I. Daszyński)— dla F. R. P. P. S. entuzyazmuje się jeszcze młodzież studencka radykalna. Poczęła się żywa praca mózgów. Ujrzał świat coś niezwykłego, wśród młodzieży zrazu: gdy zaczęto mówić o powrocie do uniwersytetu i politechniki warszawskiej, młodzież, zawsze niezgodna, zawsze podzielona na dwa, śmiertelną zionące nienawiścią obozy, jednomyślnie potępiła ten akt kapitulacyi przed carskim systemem „wychowawczym“ — tak narodowcy, jak postępowcy. Ale oto podnosi się głos protestu: młodzież „lewicowa“ i „esdecka“ zrazu cicho, potem głośno wychwala powrót do Warszawy, w końcu samowolnie zawiesza strajk szkolny. Ale największa część młodzieży odpowiedziała na to pogardą, młodzi socyaliści „frakcyjni“ ramię do ramienia z „endekami“ — no i do świątyń „wiedzy“ warszawskiej nikt uczciwy nie chodzi. Wszędzie młodzież „frakowa“ zerwała z „lewicowcami“, — tworząc nowy związek stowarzyszeń, różny od starego „Związku“ a nazwany wedle pięknej tradycyi narodowej „Filarecyą“. Między filaretami, a „związkowcami“, którzy uznali hasło niepodległości Rzpltej za zgubne dla socyalizmu, wykopana przepaść nieprzebyta. Na „lewicowców“ rzucono miażdżące anatema „socyal-ugodowców“. Młodzież „frakowa“, odgrywając taką rolę, musiała zabarwić całą partyę; wziąwszy rozmach, rzuciła nawę socyalizmu rewolucyjnego na nieznane dotąd wody. Oderwany od życia, socyalizm emigracyjny, rozpamiętując klęski 1905/6, zaczął sortować swe szeregi i w y z w a l a ć s i ę o d ż y d o s t w a. Nie tu miejsce mówić o tej pozaprogramowej pracy, która wytworzyła tzw. antysemityzm postępowy, usunęła z R. P. P. S. szeregi żydów, zdobyła się na nazwanie ruchu soc.-dem. Król. Pol. „litwactwem“ i t. d. Ale najważniejszym rysem w przeobrażeniu się socyalizmu rewolucyjnego było jego u n a r o d o w i e n i e. Nie wiadomo, czy w boju z przemocą caratu stanęły w oczach żołnierzy rewolucyi socyalnej krwawe widma Olszyny, czy zaszumiały skrzydła husarskie, czy też w bilansie rewolucyi uczeni rachmistrze dostrzegli straszny brak: brak tradycyjnej walki o niepodległość, dość, że F. R. P. P. S. uznała się partyą odbudowania Ojczyzny. Nieco śmieszne posypały się dowody konieczności naszej niepodległości ze stanowiska socyalistycznego, zawrzała agitacya poetycka i polityczna i bądź co bądź, nad wszystkich Marxów i Kautskych wyrosła dewiza „fraków“: „W wolnej Polsce wolny człowiek!“

Konflikt o Bośnię dawał nadzieję nowej walki. Zaczął się socyalizm rewolucyjny zbroić. Po upływie pół wieku zmartwychwstaje polska literatura militarna, młodzież radykalna (na wzór narodowej) uczy się rzemiosła wojskowego. Dziwna rzecz, zamiast opychania się broszurkami Drapera, Engelsa i t. p. akademik czy gimnazyasta — socyalista uczy się czytać mapy, strzelać z manlichera, sypać szańce..... „Frakcya“ oglądnęła się za sprzymierzeńcami. Studenci, robotnicy, inteligenci, niezadowoleni z oportunizmu różnych partyi „narodowych“, wypisali na standarze swoim myśl „niepodległościową“ — ideę rządu narodowego i powszechnej gotowości zbrojnej. Z tym ruchem wszedł w kontakt polski socyalizm rewolucyjny. Ale i tu napotkał na opozycyę. Ostatni Żydzi z f. p. p. sowi Gumplowicz, Perl i inni od maja 1912 wydają we Lwowie pismo p. t. „Placówka“, które zwalcza w myśl programu P. P. S., militaryzm naszych rewolucyonistów, łączenie się z niesocyalistami, zwalcza robotę studencką partyi, nie mogącą działać na masy. Znany strach przed karabinem..... Wołają, że w manifeście zakopiańskim z r. 1912. prysnęły ostatnie węzły socyal-rewolucyonizmu z socyalizmem. W manifeście tym F. R. P. P. S. i „niepodległościowcy“ uchwalili uświadamiać i organizować naród w duchu wywalczenia państwa polskiego, popierać ruch wojskowy i wszelkie działanie, dążące do zrealizowania postulatów narodowych bez względu na różnice partyjne. Ostatni niemal grat z lamusa socyalistycznego: ekskluzywność partyjną potrafili „frakowcy“ wyrzucić.

W obecnej chwili ideologia socyalizmu niepodległościowego chciałaby zagrać pierwszorzędną rolę — lecz chwila obecna usuwa się z pod obserwacyi objektywnej, — do historyi jeszcze nie należy.

S. P.

Najnowszy komentarz do „Magnificat".

(Dokończenie).

Ta cicha Dziewica nazaretańska jakże silnie umie dąć w trąbę sądu Bożego, gdy chodzi o głoszenie praw majestatu Bożego i wiecznych zasad moralnego porządku światowego! To są tony ostre i twarde jak żelazo, jak najpotężniejsze głosy proroków. Tutaj najgłośniej brzmi echo pieśni Anny, mstki Samuelowej, tego starozakonnego Magnificat: „Łuki walecznych bohaterów złamane, a słabi odziani są mocą. Którzy byli syci, idą za zarobkiem na kawałek chleba, a głodni przestają ciężko pracować" (1 Sam. 2, 1—10). Pieśń matki Samuelowej widocznie natrafiła na pokrewne struny w duszy matki Zbawicielowej, gdy do gór Judzkich cichą odbywała pielgrzymkę. Z drugiej strony Magnificat kreśli także na pszyszłość linie rozwoju. Syn Maryi będzie „potężnie działał ramieniem swem", gdy cuda czynić będzie, a gdy się będzie rozprawiał z Faryzeuszami, „rozprószy dumne umysły". To co mówi Matka o upadku wielkich, i wywyższeniu maluczkich, jest duchem z ducha Syna: „Kto się wywyższa, poniżon będzie, a kto się poniża, wywyższon będzie" (Mat. 23, 12). Kto się ciśnie na zaszczytne miejsce, musi się ze wstydem usunąć na poślednie, a kto się kontentuje miejscem ostatniem, usłyszy głos: „Przyjacielu, posuń się wyżej" (Łuk. 14, 8—11). Najwymowniejszą jednak illustracyą do Magnificat jest Marya właśnie: dumne i bogate damy Tyru i Damaszku są zapomniane i poumierały z próżnemi rękoma, a ta tak maluczka służebnica Pańska jest wywyższona i zbogacona darami łask.

Trzeci zakres myśli w hymnie Magnificat wraca znowu do łagodniejszych melodyi, do wysławiania wierności Bożej. Pieśń Królowej nie mogła się urwać na potężnych odgłosach trąby sądu Pańskiego o rozproszonych głowach i wywróconych tronach. Po wstrząsających motywach sądu w drugim cyklu idzie podniosła pieśń pokoju o wiernem zmiłowaniu Bożem, jak po uderzeniach piorunów w czasie burzy siedmiobarwna na niebiosach jaśnieje tęcza, zwiastunka pokoju. Tę strukturę myśli przejęła nasza Bogiem przejęta śpiewaczka również z ksiąg świętych swego narodu. W nich, gdy jest mowa o „dniu Pańskim", w którym się łamią z trzaskiem cedry Libanu, na końcu zazwyczaj idzie słowo pociechy, błogosławieństwa i pokoju (Ps. 28, 5. 11). Gdybyśmy do trzech cyklów myślnych Magnificat chcieli dostroić jakiś instrument muzyczny dla akompaniamentu, to pierwszej zwrotce „Dusza moja śpiewa sławę Panu" odpowiadałaby najlepiej harfa, drugiej „potężnych strąca z tronu" — trąba, a trzeciej, która jest pieśnią wierności, cichy flet pastuszka.

54 Za Izraelem, sługą swoim, On ujął się
Pomny miłosierdzia swego,
55 Jako niegdyś przyrzekł ojcom naszym
Abrahamewi z potomstwem jego wiecznym czasem.

Bóg odwieczny niejednokrotnie i uroczyście zapewnił praojca narodu izraelskiego, że w jednym z jego potomków będą błogosławione wszystkie narody ziemi (Gen 12, 3; 18, 18; 22, 18). Obietnica ta, powtórzona wobec syna Abrahamowego (Gen 26, 4) przechodzi prawem dziedzictwa z pokolenia na pokolenie. I oto nastała chwila w której ma się spełnić obietnica z czasów praojców: gdy Marya pozdrowiła Elżbietę, błogosławieństwo świata zapukało po raz pierwszy do potomków Abrahama. I gdy Marya pieśnią wita tę błogą chwilę, myśl jej mimowoli unosi się w czasy praojców i rozbrzmiewa chwałą wierności Boga Izraela. Ludzie zrobili wszystko, co mogli, aby swoją niewiernością zepsuć plany Boże i zamiast błogosławieństwa ściągnąć na siebie przekleństwo. Ale Bóg mimo wszystko został taki sam „pomny miłosierdzia swego"—i oto z samowładną pewnością wiedzie naród Abrahama z państwa ciemności i obietnic do świetlanego królestwa i „wypełnia co był przyrzekł niegdyś ojcom naszym, Abrahamowi z potomstwem jego wiecznym czasem". Już raz, gdy Izrael po długiem błąkaniu się po pustyni wreszcie w Ziemi obiecanej rozbił namioty swe, oświecony przez Boga prorok napisał był księgę o Bogu wiernym w obietnicach swoich, księgę Jozue, której temat jest taki: „Ani jedno słowo, które Pan obiecał spełnić, nie zostało nie spełnione, lecz wszystko się spełniło" (Jos 21, 43). Psalmiści również z wielkiem upodobaniem stroili swe harfy do śpiewu na cześć Boga wiernego w obietnicach swoich: „Aż pod niebiosa sięga zmiłowanie jego aż po obłoki" (Ps. 56, 11; 107, 5). A teraz, w ostatniej godzinie Starego Testamentu, przed oczyma tych dwóch świętych niewiast, Elżbiety i Maryi, w których stoją naprzeciw siebie dwa światy: stary i nowy świat objawienia, leżą dzieła dokonane przez Boga w przeszłości, dla zbawienia ludzkiego, jakby wielka panorama stateczności Bożej, a na przyszłość taż stateczność Boga stoi mocniej aniżeli góry Judzkie. Nawet gdy Zbawiciel wręcza synagodze list rozwodowy i obiera sobie Kościół na nową wieczną oblubienicę, nie czyni on tego przez niewierność dla synagogi, lecz gwoli swej stateczności w słowie; bo taki zwrot sprawy był wzięty w rachubę od wieków i Zakon spełnił się co do joty. Hymn Zacharyasza, który się odezwał później w tym samym domu i może się nazywać Magnificat mężczyzn, zawiera tę samą myśl o stateczności Bożej: „Nawiedził Pan lud swój, jako od wieków przyrzekł przez proroków swoich" (Łuk 1, 68—79). Tu powinienby się znajdować wiersz już poprzednio wypowiedziany: „A zmiłowanie jego trwa od pokolenia......"; byłaby lepsza symetrya, gdyż każda zwrotka miałaby tę samą liczbę wierszy, a pod względem treści wiersz ten na tem miejscu uzupełniłby zwrotkę trzecią: drogi Pańskie, to zmiłowanie i stateczność.

Marya jest żywym obrazem do swej pieśni także co do jej trzeciej myśli głównej, Marya jest żywem Magnificat na cześć stateczności Bożej.

Ewangelia wymienia imię Maryi po raz pierwszy w genealogii Jezusa Chrystusa (Mat. 1, 16) i to jako szczyt drzewa rodowego, na którem miał dojrzeć błogosławiony owoc, Chrystus. Cztery inne niewiasty, wyliczone w tej genealogii, przez osobistą swą niegodność były poniekąd hańbą dla Zbawiciela i ze swej strony narażały linię rodową Zbawiciela na wymarcie a Zbawicielowi groziły pośrednio, biorąc rzecz po ludzku, zagładą w samym zarodku. Wszechmocny jednak, który sobie zawsze zastrzega ostatnie słowo, przeprowadził mimo to genealogię Pomazańca swego aż do córki Dawida w Nazarecie. Z pośrodku gałęzi tego drzewa rodowego słychać jakby pieśń tryumfalną o stateczności Bożej, a Matka Immanuela w szczególności między innemi niewiastami w tej genealogii, jak lilia wśród cierni, jest żywym hymnem tejże stateczności Bożej.

W cichej wiosce górskiej Ain Karim, o trzy godziny drogi na zachód od Jerozolimy, na ścianie domku, stojącego na tem miejscu, na którem jak przypuszczają, stał dom Elżbiety, owa kolebka hymnu Magnificat, wypisano dziś słowa tego hymnu. Z gór Judei wyszła ta pieśń na cześć dobroci, wszechmocy i stateczności Bożej i rozeszła się ponad góry całego świata. Od wschodu słońca aż na zachód, gdzie tylko kapłan lub zakonnik czuwa u bram mądrości, ten hymn Maryański odzywa się codziennie w nieszporach pacierzów kapłańskich. W liturgii dodaje się do niego Gloria Patri; z tą doksologią Magnificat staje się pieśnią o dziesięciu wierszach, czemś w rodzaju dekalogu poetycznego, psalmem na „harfie o dziesięciu strunach" (Ps 32, 2).

Magnificat jest głęboko odczutą poezyą, która nam odsłania bogactwo wewnętrznego życia duszy królewskiej, duszy o wysokim polocie a zarazem o głębiach mistycznych, duszy małej w oczach własnych, ale wielkiej w oczach Boga, duszy, żyjącej w ciągłym i żywym kontakcie z myślami przodków, a jednak mającej oczy otwarte na szerokie linie rozwoju historycznego.

Magnificat, to poezya głęboko religijna, o całe niebo wyższa od śpiewaniny świeckiej sztuki pieśniarskiej, transponowana od pierwszego do ostatniego wiersza na myśl o Bogu, tę myśl przewodnią w życiu jednostki i w dziejach świata i zaopatrzona w motto psalmu 44.: »Zaśpiewam ja pieśń moją królowi". Magnificat, będąc już w swem brzmieniu materyalnem echem poezyi biblijnej, jest przedewszystkiem przez treść swoją duchem z ducha psalmów, podobnie jak „modlitwa Pańska", przedziwnie krótkiem streszczeniem przewodnich myśli pieśni ze Syonu, czemś w rodzaju katechizmu psałterzowego. Oto jest więcej niż Mirjam, więcej niż Anna, więcej niż Debora! Magnificat jest poezyą wielkiego znaczenia dla niewiast. Uroczyściej nie było można odezwać się do kobiet: siostry Matki Immanuelowej, śpiewajcie psalmy, bo i wy jesteście powołane do światłości Ewangelii i źródeł łaski. Magnificat jest częścią Ewangelii, a zatem dokumentem z pieczęcią Boga, dokumentem, który głosi prawo kobiety do współużywania dóbr zbawienia i nawołuje ją, by się „rozradowała w Bogu Zbawicielu" i miała oczy otwarte na potężne działanie ramienia Bożego w dziejach świata. Jako pierwsza pieśń w Ewangelii jest Magnificat pierwszym taktem hymnu, który nuci sztuka chrześcijańska, zwłaszcza sztuka pieśniarska, po przez całe wieki, zapłodniona ideami Pisma św., a ten hymn powinny nucić także niewiasty chrześcijańskie. Obrazy, malowane ręką, bledną, ale obraz Królowej, namalowany w Ewangelii, jaśnieje zawsze świeżomi barwami; — pienia harf ziemskich milkną, ale pieśń Królowej będzie spadkiem duchowym wartości niezmiennej.

X. J. K.

Z KONSTANTYNOPOLA.

(Od naszego korespondenta.)

Wojna na Bałkanie hańbą dla chrześcijaństwa.

Chcąc rzekomo poprawić smutny rzeczywiście los chrześcijan, żyjących pod panowaniem tureckiem, wyruszyli Bułgarzy, Serbowie, Czarnogórcy i Grecy na wojnę przeciwko Turcyi. Miała to być wojna w obronie wiary chrześcijańskiej, ale stała się nieprzerwanym łańcuchem okrucieństw, prowadzono ją bowiem w sposób całkiem niezgodny z zasadami religii chrześcijańskiej. Już wojna, wydana Turcyi w zeszłym roku przez Włochy bez żadnego rozsądnego powodu, zaszkodziła powadze chrześcijaństwa w oczach Mahometan, ale jeszcze daleko więcej szkodzi mu teraz nieludzkie prowadzenie wojny przez ludy bałkańskie.

Ludy te nie grzeszą wogóle przesadną czułostkowością i oddawna dzieją się tu w czasie wojny srozsze okrucieństwa niż na zachodzie. Pali się wioski, chociaż tego nie wymagają wcale względy strategiczne, pustoszy się pola, kaleczy trupy i rannych. Tak postępują Serbowie z Arnautami, tak robią Bułgarzy i Grecy, najmniej jeszcze słyszy się skarg na Czarnogórców. Oczywiście i Turcy nie czynią lepiej, chociaż się tego zapierają.

Okrucieństwa te tłumaczy ogromna nienawiść chrześcijan przeciwko Turkom. Nienawiść ta jest wprawdzie naturalnym wynikiem ucisku, którego doznawali przez całe wieki, ale nie jest to po chrześcijańsku, że jej w taki sposób obecnie puszczają wodze. Zanim Serbowie wkroczyli do Starej Serbii, byli tam (jak już pisałem dawniej) ich rodacy pozbawieni wszelkiej opieki i zdani na łaskę Arnautów. Serbom nie wolno było mieć broni, Arnauci zaś byli od stóp do głów uzbrojeni i dopuszczali się niezliczonych morderstw i rabunków wobec Serbów; — teraz ci oddają im wet za wet i starają się Arnautów wytępić.

To też ludność wiejska turecka lęka się strasznie sprzymierzonych. Turek nie płonie właściwie nienawiścią przeciwko chrześcijanom, — raczej gardzi nimi, stara się ich wyzyskiwać i zmusza ich, żeby dla niego pracowali. Skoro tylko rozpoczęły się kroki nieprzyjacielskie, uciekały rzesze ludności tureckiej do miast portowych: Salonik, Dedeaghacz i Konstantynopola, uprowadzając swoje bydło i nędzne sprzęty domowe. Kto mógł dostać się do jakiego pociągu, starał się, zdobyć w nim miejsce; nawet na dachach i stopniach wagonów kolejowych siedzieli, leżeli lub stali uciekający. Odgrywały się przytem sceny wstrząsające. Żołnierze strzelali do pociągów, żeby je zatrzymać, zdarzały się wykolejenia i ró-

żne inne wypadki. Ci zbiegowie, zwani „muhadżir", przywlekli też cholerę do Konstantynopola. Wzdłuż toru kolejowego, od linii Czataldża aż do San Stefano, oddalonego o 18 kilom. od Konstantynopola, leżały trupy, które dopiero w ostatnich dniach usunięto.

Ludność stolicy żyje w największem podnieceniu od początku wojny i dopiero przysłanie licznych okrętów wojennych europejskich uspokoiło ją. Po bitwie pod Lule-Burgas lękano się, że pokonane wojska tureckie, które od kilku dni nie dostały pożywienia, rzucą się na miasto, aby je złupić, a nie tylko chrześcijanie, ale i Turcy bali się tych własnych rodaków, że ich mogą wymordować. Zgrozą przejmowała ich także myśl, że teraz Bułgarzy zdobyć mogą ich stolicę; — więcej nie lękano się w średnich wiekach „złotej hordy" Mongołów.

A przecież wojna ta podziałała jak burza, oczyszczająca powietrze. Od traktatu berlińskiego miała polityka wschodnia wielkich mocarstw na celu utrzymanie dzisiejszego stanu posiadania Turcyi. Po bitwie pod Kirk-klisse nie zdoła już żadna potęga ziemska zachować sławnego „status quo" i teraz musi nastąpić całkiem nowe urządzenie stosunków na Bałkanie.

Także na wiele innych rzeczy rzuciła ta wojna nowe i ciekawe światło, jak np. na właściwy charakter „Komitetu" młodotureckiego. W chwili, kiedy ich ojczyzna stacza rozpaczliwą walkę o swój byt, chcieli wolnomularze Komitetu zaprowadzić republikę, żeby chociaż na krótko dojść znowu do władzy i zapełnić swoje kieszenie. Teraz mogą w więzieniu lub za granicami kraju rozmyślać o obowiązkach obywateli wobec ojczyzny.

Także żydowstwo w Salonikach, z którego łona wyszedł właściwie komitet, stanęło teraz w świetle nieszczególnem. Kiedy Grecy zbliżyli się, zmusili żydzi formalnie komendanta Salonik do poddania się; przedtem grali rolę najgoretszych patryotów tureckich a teraz powitali uprzejmie Greków, — którzy jednak złupili ich pomimo tego równie gruntownie jak Muzułmanów.

W bardzo niemiłem położeniu znalazł się i Kerim Agha, sławny „hamalbaszi" z Salonik, który odznaczył się podczas bojkotu przeciwko Austryi i Grecyi; teraz kazali mu Grecy, wetknąwszy mu do ręki swój sztandar, maszerować przez główne ulice i ciągle krzyczeć: „Niech żyje Grecya!"

Dobrym owocem tej wojny, jest zbliżenie się Greków i Bułgarów na polu kościelnem. Ogólnie sądzą, że po zawarciu pokoju nastąpi też pogodzenie się patryarchatu ekumenicznego z egzarchatem bułgarskim.

G. Herll.

Abstynencya a Pismo św.

(Dokończenie).

Oto zatem sąd, jaki wydaje Pismo św. o pijaństwie przed którem ono *przestrzega* usilnie. I tak Izajasz prorok mówi (5, 22): „Biada, którzyście mocnymi na picie wina, a mężmi dużymi ku mieszaniu opilstwa." Prorok Joel (1,5) zaś woła: „Ocućcie się pijani a płaczcie wszyscy, którzy pijecie wino." A sam Zbawiciel upomina (Łuk. 21, 30): „Miejcie się na pieczy, aby kiedy nie były obciążone serca wasze obżarstwem i opilstwem i staraniem tego żywota." Św. Paweł (I. Kor. 5, 11) zakazuje wprost obcować i zasiadać do stołu z ludźmi, oddającymi się pijaństwu lub innemu jakiemu nałogowi. Pijakom zaś grozi potępieniem, mówiąc: (I. Kor. 6, 9) „Nie mylcie się, ani porubnicy,... ani złodzieje,... ani *pijanice*,... nie posiędą królestwa Bożego."

Opowiada nam także Pismo św. o *mężach*, którzy nie pili żadnych trunków alkoholowych, by w myśl zdania św. Augustyna: „Potuerunt hi et hae, cur non tu Augustine?" zachęcić i innych do ich naśladowania.

I tak przed potopem nie znali ludzie wcale wina, a przecież setki żyli lat. Abraham przyjmował gości mlekiem. Eliasz gasił swe pragnienie wodą z potoku. Naród żydowski, na puszczy przebywający, nie żądał od Mojżesza wina lecz wody, a podczas całej 40 lat trwającej wędrówki do Ziemi św. pił tylko wodę i to z polecenia Bożego (V. Mojż. 29,6): „Chlebaście nie jedli, wina i sycery nie piliście, abyście wiedzieli, żem Ja jest Pan Bóg wasz."

Kapłanom żydowskim, pełniącym służbę w świątyni Jerozolimskiej, nakazywał Bóg wprost *abstynencyę*, (III Mojż. 10,8 i 9): „I rzekł Pan do Aarona: „Wina i wszelkiego, co upoić może, pić nie będziecie, ty i synowie twoi, gdy wchodzicie do przybytku świadectwa, abyście nie pomarli." Prorok zaś Ezechiel (44,20) mówi: „Wina niech nie pije żaden kapłan, kiedy ma wnijść do ziemi wnętrznej."

Daniel, który przebywał w niewoli na dworze króla babilońskiego Nabuchodonozora, postanowił nie jeść potraw ani pić wina ze stołu królewskiego: (Dan. 1,11 i nast.) „I rzekł Daniel do Malasara: „Doświadcz nas, proszę cię, sług twoich przez dziesięć dni, a niech nam dawają jarzyny ku jedzeniu, a wodę ku piciu. A po dziesięciu dniach pokazały się twarze ich (t. j. Daniela i towarzyszy jego Ananiasza, Mizaela i Azaryusza) lepsze i cielistsze niźli wszech pacholąt, które jadły potrawy królewskie."

Mówi także Pismo św. o *Nazirejczykach*, którzy byli abstynentami w całem tego słowa znaczeniu. U Mojżesza bowiem czytamy (IV. Mojż. 6, 1—4): „I mówił Pan do Mojżesza: „Mąż albo niewiasta, gdy uczynią ślub i chcą się Panu poświęcić: Od wina i od wszelkiego, co upić może, wstrzymać się mają. Octu z wina i z któregokolwiek innego napoju i cokolwiek z jagody winnej wytłaczają, pić nie będą. Jagód winnych świeżych ani suchych jeść nie będą po wszystkie dni, przez które *Panu* ślubem są poświęceni; cokolwiek z winnicy być może od rodzynki aż do jagódki jeść nie będą." [Ostrzejszy to zatem przepis niż statuty nasze abstynenckie, które pozwalają jeść *winogrona*. — Zakaz ten Boży jest zarazem najlepszą odpowiedzią daną tym, którzy z ironią odzywają się do abstynentów; „Na cóż tedy stworzył Bóg krzew winny, kiedy wy zabraniacie pić najszlachetniejszego wytworu tego krzewu?" — Dla *wyższych* bowiem pobudek (a takiemi są: miłość ku Bogu, wzgląd na dobro doczesne i wieczne bliźniego oraz umartwienie własnego ciała) odmawiają sobie abstynenci tego trunku.]

Nazirejczykiem był *Samson*, o którym rzekł do matki jego Anioł (Sędz. 13,14): „Cokolwiek się z winnicy

rodzi, niechaj nie jada, wina i sycery niech nie pije.“ Nazirejczykiem był także *Samuel;* byli nimi i inni ludzie cnotliwi i bogobojni. Największym zaś z nich był *św. Jan Chrzciciel,* o którym rzekł Anioł do Zacharyusza, ojca jego (Łuk. 1, 15): „Wina i sycery pić nie będzie!“ Że zaś św. Jan żył według tych słów anielskich, że wskutek tego narażony był na szyderstwa i podejrzywania Żydów, o tem mówi sam Zbawiciel (Łuk. 7, 33): „Przyszedł Jan Chrzciciel ani jedząc chleba, ani pijąc wina a mówicie: czarta ma.“

Podobnie i matki Nazirejczyków powstrzymywały się od picia wina i innych trunków, gdy były w stanie błogosławionym i to z rozkazu Boga, który rzekł do matki Samsona: (Sędz. 13, 4) „Strzeż się, abyś nie piła wina i sycery“.

Do *Rechabitów* posłał Bóg za czasów króla judzkiego Joachima proroka Jeremiasza, mającego doświadczyć ich wierności (Jer. 35, 5 i nast.). Mówi bowiem Jeremiasz: „I postawiłem przed synami domu Rechabitów czasze pełne wina i kubki i rzekłem do nich: „Pijcie wino!“ Którzy odpowiedzieli: „Nie będziem pić wina, bo Jonadab, syn Rechabów, ojciec nasz, rozkazał nam mówiąc: „Nie będziecie pić wina, wy i synowie wasi aż na wieki!“

Wobec tego nie zdziwimy się, że Pismo św. tak usilnie i gorąco *zaleca umiarkowanie a nawet abstynencyę.* I tak trzeźwości żąda św. Paweł przedewszystkiem od biskupa (I. Tym. 3, 3) i od dyakona (I. Tym. 3, 8). Trzeźwość zaleca młodzieńcom (Tyt. 2, 6) „Młodzieńców także upominaj, aby byli trzeźwi.“ Trzeźwemi mają być niewiasty (I. Tym. 3, 11 i Tyt. 2, 5), zwłaszcza starsze a także i starcy (Tyt. 2, 2 i 4). Dobitne zaś upomnienie, jakie daje Zbawiciel w przypowieści o szafarzu, którego pan, wróciwszy z podróży, zastaje w stanie pijanym (Łuk. 12, 46 i nast.), powtarza także św. Piotr (I list 1, 12), mówiąc krótko a dobitnie: „Trzeźwymi bądźcie i czuwajcie.“ (I. Piotr 5, 8). Św. Paweł w końcu mówi w liście do Tesaloniczan (5, 8,): „My którzy jesteśmy dniowi, bądźmy trzeźwi!“

Za spełnienie zaś tego żądania obiecuje Pismo św. oprócz zbawienia rozmaite łaski już tu na ziemi; mądrość, długie życie i t. p. I tak czytamy u Eklezyasty (2, 3): „Myśliłem w sercu swem, abym powściągnął od wina ciało moje, abym serce swe przeniósł ku *mądrości,* a uchronił się głupstwa.“ A u Eklezyastyka (37, 34): „Kto mierny jest, *przyczyni żywota.*“

Podaje także Pismo św. wzgląd na dobro duchowe bliźniego jako powód do abstynencyi (Rzym. 14, 21): „Dobra jest, nie jeść mięsa i nie pić wina, ani czem się brat twój obraża, albo gorszy albo słabieje.“

Bóg zaś ceni bardzo wysoko ludzi wstrzemięźliwych. Mówi bowiem (Syr. 26, 19): „Nie masz wagi, którąby godna była duszy wztrzemięźliwej!“

Otóż niema w Piśmie św. ani jednego zdania, któreby potępiało zupełną wstrzemięźliwość, a natomiast wiele jest zdań, które ją zalecają.

Wynika z tego także, że wszelkie *zarzuty* zaczerpnięte z Pisma św. są bezpodstawne.

I tak twierdzą alkoholicy (alkoholikiem zaś jest każdy, który pije często, chociażby w małej ilości, trunki alkoholowe), że Pismo św. poleca umiarkowane picie, a na dowód swego twierdzenia przytaczają św. Pawła, który w liście swym do Tymoteusza (5, 23) pisze: „Wody jeszcze nie pij, ale używaj potrosze wina dla żołądka twego i częstych chorób twoich.“ Św. Paweł poleca zatem Tymoteuszowi wino jako *lekarstwo,* a przecież na to pozwalają statuty wszystkich związków abstynenckich. Św. Jan Złotousty (homilia 1) tak tłumaczy owe słowa: „Tymoteuszu, przez twoje długie a uciążliwe podróże, któreś podejmował ze mną, przez twoje prace i trudy apostolskie, a może najwięcej przez twoje posty i umartwienia, jakieś sobie zadawał, zostawszy arcybiskupem efezkim, stargałeś zdrowie; pofolguj sobie teraz cokolwiek; zamiast pić samą tylko wodę, jakeś zwykł był czynić dotychczas, pij potrosze wina z powodu twej słabości gdybyś nie był tak podupadł na zdrowiu, nie zmuszałbym cię wcale do picia tej odrobiny wina.“ — Święty zaś Piotr Damiani mówi, nawiązując do powyższych słów św. Pawła: „To słowo zapisaliście sobie dobrze w pamięci, obyście i inne nauki Pizma św. równie zachowali w pamięci, naukę o poście, a także i te słowa tegoż Apostoła, iż w winie jest nieczystota!“

Dalej słyszymy często z ust przeciwników abstynencyi zdanie Pisma św. (Psalm 103, 15): „A wino rozweseliło serce człowiecze.“ Słowy temi wielbi Psalmista szczodrobliwość Bożą, która daje ludziom nietylko to, co *potrzebne* jest do życia człowieka, t. j. chleb, lecz i to, co rozwesela i zdobi człowieka t. j. wino i oliwę. Doświadczenie uczy, że małe dawki wina rozweselają człowidka, wprawiając go w pewien przyjemny stan podniecenia. Dlatego Pismo św. nie mówi (i to zupełnie słusznie), że wino *wzmacnia* człowieka, co czyni chleb, lecz tylko go rozwesela. Otóż abstynenci nie zaprzeczają bynajmniej winu skutków podniecających i rozweselających; lecz twierdzą, że często za to rozweselenie trzeba ciężko pokutować, dlatego wolą korzystać z przysługującego im prawa i nie pić wcale tego trunku.

Najwalniejszą w końcu bronią w ręku zwolenników alkoholu jest — *Osoba i przykład Pana Jezusa,* bo powiadają, że Zbawiciel sam pił, co prawda, umiarkowanie, że przemienił w Kanie wodę w wino, a nawet do ustanowienia Najśw. Sakramentu użył oprócz chleba także i wina.

A zatem Pan Jezus pił wino. I to prawda! Sam bowiem o sobie mówi (Łuk. 7, 34) „Przyszedł Syn Człowieczy jedząc i pijąc, a mówicie: Oto człowiek obżerca i winopilca.“

Lecz czyż ci, co powołując się na przykład Zbawiciela, sami piją często nadmiernie, nie obrażają Go ciężko?

Czyż Zbawiciel ma być winnym owych tak licznych zwłaszcza w obecnych czasach zbrodni i nieszczęść społecznych, rodzinnych i prywatnych, jakie pociąga za sobą używanie alkoholu? Jeśli Zbawiciel pił wino, to nie pił go w tej mierze, w której się go dziś używa, nie pił go tak często, jak się to dziś czyni. Zresztą Pan Jezus stosował się do potrzeb czasu. Wówczas nie było alkoholizmu w Palestynie a więc nie było i powodów do abstynencyi.

Każdy bowiem czas ma specyalne swe zło i specyalne środki zaradcze!

Drugiem działem, które wytaczają zwolennicy trunków przeciw abstynencyi, to *cud Pana Jezusa w Kanie Galilejskiej.* Twierdzą oni, że Zbawiciel, przemieniając wodę w wino, okazał się tem samem przeciwnikiem abstynencyi, która według ich mniemania uważa wino za rzecz samą w sobie złą i szkodliwą. Zarzut ten jest niesłuszny, gdyż opiera się na fałszywem przypuszczeniu, jakoby abstynenci uważali wino za rzecz bezwzględnie złą Lecz tak nie jest! Istnieje bowiem na świecie wiele rzeczy, których używanie w pewnych warunkach jest dobre a w innych — szkodliwe.

Mięso n. p. należy do najważniejszych i najpożywniejszych środków spożywczych, a przecież nieraz zabrania go lekarz chorym. Otóż i wino, chociaż zawiera w sobie pewien procent trucizny, zwanej alkoholem, nie jest tem samem rzeczą bezwzględnie szkodliwą. Owszem, w niektórych warunkach, n. p. w pewnych chorobach, zbawienne może wywołać skutki. Zresztą Pan Jezus, przemieniając wodę w wino, nie chciał tem samem powiedzieć, że wino pić *trzeba.* Obecnością swoją na godach w Kanie uświęcił Zbawiciel małżeństwo i uzał je za coś dobrego. Czyż więc wobec tego powie ktoś, że każdy musi je koniecznie zawrzeć?

Małżeństwo samo w sobie jest dobre, lecz abstynencya od niego, t. j. życie w stanie bezżennym jest według słów Pisma św. (Mat. 19, 12; I Kor. 7, 25 i 38; Obj. 14, 4) lepsze. Podobnie *i abstynencya od wina i innych trunków lepszą jest od umiarkowanego picia.*

Ostatnim wreszcie argumentem pijących jest fakt, że Pan Jezus, ustanawiając Najśw. Sakrament, użył jako materyi oprócz chleba także i wina. Św. Cyryl tak o tem mówi: „W Kanie przemienił Zbawiciel wodę w *wino, które podobne jest do krwi.* Czyż nie miałby znaleźć wiary gdy wino w Krew swą przemienia?"

Zresztą przy ustanawianiu Sakramentów Chrystus Pan zawsze takiej używał materyi, która działanie Sakramentu uzmysławiała i tak: przy chrzcie wody jako symbolu czystości, przy bierzmowaniu oliwy jako symbolu mocy, więc przy ustanawianiu Najśw. Sakramentu użył chleba jako symbolu koniecznego pożywienia i wzmocnienia, a wina jako symbolu wesela i radości i lekarstwa dla duszy. Chleb zatem i wino uzmysławiają nam wzmacniającą, uzdrawiającą i rozweselającą działalność Najśw Sakramentu.

Użycie w końcu wina do tak świętej rzeczy i to w ilości bardzo małej aż nadto wyraźną jest wskazówką dla ludzi, by wina nigdy nie nadużywali.

Zestawiając powyższe wywody, dochodzimy do wniosku, że nieumiarkowanie sprzeciwia się istocie chrześcijaństwa, zupełna zaś wstrzemięźliwość czyli abstynencya wzniosłą jest bardzo i piękną cnotą, bo odniesieniem zwycięstwa nad sobą samym, nad ciałem i jego żądzami. Głównym bowiem postulatem chrześcijańskiej moralności jest: walka duszy przeciw ciału, celem jej — zwycięstwo nad zmysłami, ideałem zaś według słów św. Augustyna (Serm. 277 n. 18): przemienić o ile możności ciało w ducha, t. zn namiętności ciała ujarzmić i zmusić je siłą łaski i woli do wyższego, szlachetniejszego życia.

Stanie się zaś to, gdy z miłości ku Bogu i bliźniemu a także i z rozumnej miłości własnej wyrzeczemy się naszych nałogów i złych skłonności, a wśród nich w pierwszym rzędzie zamiłowania do kieliszka, gdy w myśl słów Zbawiciela: „Jeśli oko twoje cię gorszy, wyłup je", (Mat. 18, 9) — wykorzenimy z dusz naszych nałogi, a zwłaszcza nałóg picia trunków i nieumiarkowania, choćby nam stał się tak drogi i miły, jak drogiem jest nam oko nasze. A jak go wykorzenić, jak go się pozbyć?

Biskup Egger taką daje na to odpowiedź: „Także o duchu alkoholizmu powiedzieć można owe słowa Jezusowe, że wypędzić go można tylko **modlitwą i postem** (Mar. 9, 28); postem zaś tym jest **zupełna abstynencya.**"

Ukochajmy zatem wzniosłą i piękną cnotę abstynencyi!

I do nas odzywa się Zbawiciel, wskazując na schorzałą i zalkoholizowaną ludzkość, słowy, jakie wyrzekł w przypowieści o miłosiernym Samarytaninie: *„Idź i ty czyń także!"* (Łuk. 10, 37.)

Idź zatem, abstynencie Polaku, w szerokie rzesze twoich braci i bądź dla nich — Samarytaninem!

X. Józef Janiszewski
w Hliboce.

KRONIKA KOŚCIELNA.

Statystyka kościelna Galicyi w r. 1912. W b. r. statystyka kościelna w kraju naszym przedstawia się w cyfrach urzędowych, jak następuje:

I. Archidyecezya lwowska o. łac. na olbrzymiem terytoryum, jakie zajmuje, liczy 1,033.506 dusz, to jest 48.533 dusz więcej niż w r. 1911. Do duszpasterstwa nad niemi ma tylko 253 parafii, 104 ekspozytur i 5 kapelanii, księży zaś parafialnych świeckich ma tylko 466, a zakonnych 73, czyli łącznie 539. Największy brak parafii wykazują dekanaty: kołomyjski i stryjski, w których na szlakach 2, 3, aż do 8 mil, mimo że tam dużo było i jeszcze jest dusz ob. łac. nie ma zgoła, z braku dotacyi, żadnych stacyi duszpasterskich polskich, to znaczy ani kościołów, ani księży polskich na miejscu.

II. Ruska archidyecezya lwowska. Na 2 razy przeszło mniejszym i wygodnym bardzo obszarze, gdzie ludność ruska jest wszędzie skupiona, liczy w b. r. 1,290.831 dusz, parochii zaś ma 754 i 7 ekspozytur, 695 parochów, 59 administratorów, 138 wikaryuszów, 7 ekspozytów, 3 profesorów uniwersytetu, 77 katechetów, czyli łącznie 989 księży świeckich, 15 OO. Bazylianów i 39 braci Studytów. Z tych wszystkich 754 parochii, co najmniej 100—200 należy do rzędu parochii za zbyteczne uważanych.

III. Dyecezya przemyska o. łac. Olbrzymia ta i bardzo rozległa dyecezya — najliczniejsza z galicyjskich polskich liczy 1,225.692 dusz. Przyrost naturalny od r. 1911 wynosi w niej **tylko** 14.698 osób! Parafii ma tylko 285, komendaryi 3, ekspozytur 28 i 189 stacyi wikaryuszowskich. Ogółem stacyi duszpasterskich ma tylko 505. Księży świeckich w duszpasterstwie liczy tylko 464, a zakonnych 12, czyli łącznie 476. W tej dyecezyi dla braku parafii polskich (bo nie ma dla nich dotacyi) zachodzą całkiem anormalne i nigdzie w Austryi nie bywałe stosunki, bo dyecezyanie mają po 2, 3, 4, 5 i 6 mil drogi do swych kościołów parafialnych. W r. 1911, jak obliczyliśmy, było łącznie 119.949 takich dyecezyan polskich, którzy **ponad milę** mieli do swych parafialnych kościołów, to znaczy takich, którzy nie mogli dla zbytniej od kościołów swych

odległości spełniać w swoim obrządku co niedzielę i święto obowiązków religijnych.

IV. Ruska dyecezya przemyska również liczna ma 1,255 129 dusz. Przyrost wynosi w niej w ciągu roku 54 345 osób, czyli **przeszło 4 razy tyle, niż w polskiej dyecezyi przemyskiej!** Parochii ma 688, a parochów 613, administratorów 47, wikaryuszów 94, ekspozytów 25, katechetów 40. Zatem księży świeckich ma ogółem 849 i 35 OO. Bazylianów

V. Ruska dyecezya stanisławowska Liczy 998.683 dusz Przyrost wynosi w niej w ciągu roku 19 565 osób. Parochii ma 433, a parochów 405, administratorów 37, ekspozytów 35, wikaryuszów 59, katechetów 26; razem księży świeckich ma ogółem 562 (28 więcej, niż w r. 1911) i 9 Ojców Bazylianów.

VI Dyecezya krakowska liczy w b. r. 942 297 dusz. Parafii ma tylko 183, 28 ekspozytur i 170 posad wikaryuszów (z tych 24 było nieobsadzonych) Ilość stacyi duszpasterskich wynosi tylko 381. Księży świeckich w duszpasterstwie pracuje 339, a zakonnych 18, czyli łącznie 357.

VII. Dyecezya tarnowska liczy w b r. 822.431 dusz. Parafii ma 181, ekspozytur 26 (5 więcej niż w r. 1911), katechetów 40 i stacyi wikaryuszowskich 120 Ogółem stacyi duszpasterskich ma 388 (tj. 11 więcej, niż w r. 1911), kleru świeckiego w duszpasterstwie ma 354, a zakonnego 12, czyli łącznie 366. Katolików ob. gr. w tej dyecezyi jest 19.092 dusz.

A więc my Polacy mamy w Galicyi o **973** parafii mniej niż Rusini, chociaż zliczywszy cyfry powyższe, nas jest 4,023.926 czyli o 479.283 więcej niż Rusinów (3,544.643); nadto mamy mniej księży świeckich o 777. Dodajmy, że my płacimy tytułem podatków bezpośrednich 28,112.056 koron rocznie, a Rusini tylko 6,233.705 kor. — A więc po czyjej stronie jest krzywda?

X. E. B.

Z Rzymu. Wielka rocznica. Komitet, który utworzył się dla uczczenia 1600 letniej rocznicy edyktu medyolańskiego, a którego prezesem jest książę Mario Chigi a sekretarzem generalnym sławny archeolog Orazio Marucchi, dokłada wszelkich starań, żeby uroczystość ta wypadła jak najświetniej. Rozesłał odezwę do wszystkich arcybiskupów, biskupów, wikaryuszów i prefektów apostolskich z prośbą o zarządzenie składek na budowę kościoła pamiątkowego (którą już rozpoczęto) w Rzymie i na koszta całej uroczystości. Nadto wzywa przewodniczących stowarzyszeń katolickich wszelkiego rodzaju, żeby przyczynili się do urządzenia licznych pielgrzymek do Rzymu w r. 1913, a szczególnie w czasie od marca do czerwca, — a redaktorów pism katolickich, żeby również zbierali i ogłaszali datki na cel powyższy i zamieszczali odpowiednie artykuły (i jedno i drugie zrobimy bardzo chętnie). Datki odsyłać należy skarbnikowi komitetu centralnemu: Cav. Camillo Serafini, Roma, Corso Vittorio Emanuele 24.

Nie wątpimy, że usiłowania komitetu będą uwieńczone najpomyślniejszym skutkiem i że także z ziem polskich wyruszy na wiosnę roku przyszłego liczna pielgrzymka, do której już wezwał na zjeździe Skargowskim w Krakowie J. E. X. Dr Józef Pelczar.

Z Paryża. Nagroda cnoty przyznana księdzu—bohaterowi Akademia francuska rozporządza kilkoma zapisami, z których odsetki przeznacza na wynagradzanie cnoty (*les prix de vertu*).

D. 22. zeszłego miesiąca otrzymał między innymi taką nagrodę X. Richard, profesor kolegium Lamartina z Belley Jechał on w Paryżu z wycieczki botanicznej omnibusem automobilowym, który przełamawszy baryerę na moście sekwańskim, wpadł z pasażerami do rzeki. Gdy wszyscy naokół stanęli przerażeni i bezradni, X Richard, doskonały pływak, wydobywa się z zamkniętego automobilu i sześć razy z rzędu przypływa ze środka szerokiej rzeki do brzegu, za każdym ratując od śmierci dziecko lub kobietę. Nareszcie wyczerpanego ze sił publiczność zatrzymuje na wybrzeżu, wszyscy spieszą, by uścisnąć jego dłoń, winszują mu. X Richard zdziwiony odpowiada z prostotą:

— Cóżem takiego uczynił? Wszak każdy na mojem miejscu tak samo by postąpił.

„Oto jest prawdziwe bohaterstwo — bohaterstwo, które o sobie nie wie i nie pojmuje, że wzbudza podziw". Ten słuszny hołd oddał zacnemu kapłanowi sprawozdawca Akademii, sławny uczony -- pozytywista Aleksander Ribot.

Z Nowego Jorku piszą nam (c. d.):

Dziś chciałbym podać do wiadomości Szan Współbraci znowu garść wiadomości, specyalnie o stronie ekonomicznej życia księży i parafii, gdyż są to rzeczy u nas mało jeszcze znane.

Przeciętnie ma tu najuboższy proboszcz 2000 dolarów rocznie, a wikary 1000—1200 dolarów, oprócz całego utrzymania¹). Na posadę czy proboszcza czy wikaryusza można tu wszędzie przyjechać tylko z książkami, ubraniem i brewiarzem. Wszystko, nawet pościel, jest tu własnością parafii, za pieniądze parafian sprawione i utrzymywane. Co więcej, w niektórych dyecezyach nawet światło i opał opłaca nie ksiądz tylko parafia. Dochody czerpie parafia ze wstępnego, opłat rocznych i kolekt na poszczególne większe wydatki. Dochód ten jest rozmaity w różnych parafiach od 5 do 8 i 12.000 dolarów rocznie. Z tego opłaca się pensyę proboszcza, wikaryusza, szkołę i nauczyciela, wydatki kościelne i spłaca się długi, bo za pożyczkę hipoteczną na grunt — buduje się tu przeważnie kościoły i budynki parafialne. Pensye proboszczów i wikaryuszów, zwanych tu „asystentami", są różne, najwyższe w dyecezyi brooklyńskiej, bo 1000 dolarów, gdzieindziej 900, 800, 700, 600 dla proboszczów, dla wikarych zaś wszędzie najwyżej 600 dolarów rocznie. Proboszcz obowiązany jest dać wikaremu całe utrzymanie (w niektórych dyecezyach za małą dopłatą 25 dolarów miesięcznie) za to jednak nie ma asystent dochodów z iura stolae — tylko mszalne i za asysty przy ślubach, pogrzebach i mszach — (po 5 dolarów zwykle). Co do taks iura stolae, te w niektórych dyecezyach są ustalone, w innych dowolne. Najwyższe są w dyecezyach wschodnio-północnych, a coraz mniejsze, im dalej na zachód i południe. Najlepiej też mają się księża w Nowej Anglii i w Pensylwanii. Natomiast na zachodzie nietylko księża ale i biskupi żyją bardzo nędznie, biskup ma nieraz tylko 1200 dolarów rocznego dochodu, a proboszcz musi czekać na pensyę, aż zbiorą kukurydzę tu „korną" w polskiem brzmieniu nazywaną i nieraz musi żyć mlekiem i jarzynami, gdyż na mięso go nie stać.

W Nowej Anglii, jak już powiedziałem, mnóstwo jest posad wolnych lub parafii nie zorganizowanych — mimo usilnych starań. Ale już wogóle trudno o miejsce dla księdza z kraju. Trzeba zwykle, żeby ludzie sprowadzili „niezależnego" księdza; dopiero wtedy biskup daje im kapłana, ale niestety często za późno.

Ale wróćmy do dochodów; podaję tu najwyższe jakie istnieją, t. j. w dyecezyach Nowej Anglii, głównie w Stanach Connecticut i Massachusets: Msza św. 1 dolar, śpiewana w Mass 5 dolar — w Conn. 10 dolarów (sic). Ślub ze mszą (obowiązkowo) i zapowiedziami 25 dol. — pogrzeb 2, 5, 10, 25 dol., w razie większej parady i assysty i więcej itd. Pogrzeby jednak odprawia się tu zwykle tylko w kościele, do domu lub na cmentarz ksiądz idzie rzadko. Gdzieindziej taksy są przeważnie o połowę mniejsze, a za śluby zaledwie parę dolarów dostają księża.

Dyecezye są tu mniejsze niż w Galicyi, dwie tylko t. j. nowojorska i bruklińska liczą około miliona dusz, inne nie więcej, jak 400.000. Dzięki temu biskupi mogą pozostawać w ściślejszym kontakcie z duchowieństwem

¹) Z powodu panującej tu drożyzny równa się wartość dolara mniej więcej dwom koronom austryackim (nie pięciu).

i wiernymi Rzadko się też zdarza, aby biskup do poświęcenia kaplicy lub dzwonów delegował księdza, a niektórzy prawie co tygodnia gdzieś bierzmują.

Pięknie i imponująco przedstawia się tu jedność kleru różnych narodowości, co uwydatnia się zwłaszcza przy sposobności pogrzebu jakiegoś księdza. Stale chowa tu księży biskup, a księży przybyłych liczy się często na setki, tak np. na pogrzebie śp. Redinga, młodziutkiego proboszcza polskiego w Worcester (czytaj Uster) było prawie 200 księży z różnych dyecezyi, oprócz X. bpa Beavena.

Wspomniałem w liście poprzednim (p. Nr. 41. G. K. z r. b. str. 503) o sprawie inkorporacyi parafii jako o jednej z głównych przyczyn buntów u Polaków. Inkorporacya odpowiada naszej intabulacyi. System inkorporowania dóbr kościelnych w Stanach Zjednoczonych jest podwójny, albo tylko na biskupa, jak w przeważnej ilości dyecezyi, albo na komitet parafialny, zależy to od ustaw stanu. Na drugi sposób zapisywania dóbr kościelnych pozwalają prawa tylko kilku stanów, we wszystkich zaś innych musi się inkorporować na rzecz biskupa. I dlatego właśnie burzą się a nawet walczą z biskupem jak n. p. w Nanticoche w dyecezyi Scranton, zbuntowani chłopi, argumentując tak: jakiem prawem nie oni, tylko biskup do tego „ajrysz“ (irish — Irlandczyk) jest właścicielem budynków, kościoła i funduszów, na które oni się złożyli i składają? Drugi system inkorporowania własności przedstawia się znacznie korzystniej. Osobę prawną stanowi tu komitet parafialny, na którego czele stoi biskup, a w skład wchodzą wikaryusz generalny, proboszcz i dwóch „trustysów“, których dobiera sobie proboszcz.

W wszelkich sprawach rozstrzyga większość głosów a proboszcz, mający oddanych sobie trustysów, jest języczkiem u wagi i może doskonale bronić polskości kościoła, z drugiej zaś ztrony biskup ma zawsze władzę pozbycia się niewygodnego dla siebie proboszcza; a może również swoim i wikarego generalnego głosem podtrzymać proboszcza przeciw głosom trustysów, ten jednak ostatni wypadek rzadziej ma miejsce. Ale ten ustrój istnieje tylko w kilku dyecezyach, gdzie ustawy stanowe nie wymagają do ważnego przypisania prawa własności osoby fizycznej, a dopuszczają osobę moralną.

Silnie rozwinął się w parafiach polskich ruch zrzeszania się. Rzecz jasna, że z inicyatywy i przy współdziałaniu duszpasterzy. Stowarzyszenia zawiązują się zwykle według płci, wieku i stanu. Istnieją więc i powstają ciągle nowe stowarzyszenia matek, ojców, panien i młodzieńców; doskonale również pełni funkcye łącznika i opiekuna duchownego żywy różaniec. Towarzystwa te przy rozumnem kierownictwie rozwijają się wszędzie pomyślnie a mają to dobre, że niejako poddają członków swych pod wzajemną kontrolę i żaden występek jednego z członków nie ujdzie oka najbliższego członka-sąsiada czy kolegi i pręgierza opinii całej parafii. W ten sposób stowarzyszenia parafialne, odpowiadające po części naszym bractwom, powstrzymują od złego i powoli uszlachetniają nasz lud.

I choć żyłka do buntów i inne wady polskie, jak zawadyactwo i pijaństwo, jeszcze silnie są w nim zakorzenione, to przecież, w ogóle mówiąc lud polski pod względem wiary, obyczajności, — pożycia małżeńskiego i pracowitości stanowi prawdziwą perłę Kościoła katolickiego w Stanach Zjednoczonych.

Jeśli ogarniemy wzrokiem dzieje roku bieżącego i porównamy go z poprzednimi, przyznać musimy, że rok ten był dla nas Polaków w Stanach Zjednoczonych przełomowym: oczyścił męty, zjednoczył lud i kapłanów w zbożnej pracy obrony bytu narodowego w życiu politycznem i kościele i doskonale wykazał, że — mimo wszystko — większość ludu polskiego jest zawsze i stale katolicką.

Ogólnie rzecz biorąc, stwierdzić trzeba, że z Polonią amerykańską w Stanach Zjed. jest znacznie lepiej. Zasługa to wytężonej pracy części kleru i świeckich organizatorów, głównie zaś inicyatywy Najprz. X. Biskupa Rhodego. Niestety nie brak i tu — według proroczych słów Skargi — takich, którzy „gardzą biskupy swemi, senaty i kapłany“, ale większość narodu polskiego za przykładem swych pasterzy, idzie wiernie za głosem jedynego na razie duchownego przodownika tej części polskiej owczarni Chrystusowej.

W ostatnich latach wskutek agitacyi niektórych tutejszych dzienników powstały we wielu dyecezyach szkodliwe dla Kościoła i jedności polskiej tendencye opanowania parafii przez ludzi świeckich. W wielu parafiach doszło nawet do zaburzeń z tego powodu. Pisma wspomniane głosiły, że kler dąży do „zagarnięcia praw ludu“. Było to i jest oczywistem kłamstwem, gdyż duchowieństwo według zasad Kościoła ma pierwszorzędny interes w tem, aby „całe dobro parafii było dobrem ludu“. Dobro zaś to nie zasadza się na bogactwie materyalnem, ale na życiu w łasce Bożej, dla której pozyskania każda parafia jest utworzoną. A cel ten może być osiągnięty tylko pod kierownictwem miejscowego duszpasterza, jako przedstawiciela Kościoła i tem samem Chrystusa. Agitacye więc tych dzienników nie miały przyczyn słusznych a były drażniące i zgubne. Kler jednak polski, rozdzielony granicami dyecezyi i olbrzymiemi często przestrzeniami, nie mógł skutecznie walczyć ze złem. Widziało to wielu, w niektórych też prowincyach sami księża szukali środka przeciw złemu w zbiorowej pracy przez zjednoczenie; ale wskutek czysto lokalnych powodów i ciągłych zmian w kierownictwie, pierwsze stowarzyszenia księży nie wydały spodziewanych owoców. Dopiero pierwszy X. biskup Rhode podniósł myśl „Zjednoczenia polskich kapłanów w Ameryce północnej“. W tym celu zwołał w lutym br. sejm księży do Detroit.

Na 800 blizko księży, mimo znacznych odległości połowa prawie przybyła na ów sejm. Rezultatem jego był wybór komisyi statutowej i powstanie kilku nowych stowarzyszeń dyecezyalnych, należących do ogólnego związku. Komisya statutowa zjechała się dn. 22. sierpnia w Bay City; na tym zjeździe uchwalono ostatecznie statut i wybrano zarząd związku, obejmującego stowarzyszenia księży w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Podstawą „Zjednoczenia“ są już istniejące związki lokalne, których mamy dotychczas 11, a mianowicie: 1) w Chicago, prezes bp. Rhode; 2) w Winona, Minnesota, prezes X. Pacholski; 3) w New York, prezes X. Puchalski; 4) w Pittsburg, Pa, prezes X. Smelsz; 5) w Milwaubee, prezes X. Peściński; 6) w Buffalo, prezes X. Dr. Pitass; 7) w Detroit, prezes X. Lempke; 8) Filadelfii, prezes X. Gulcz; 9) w Bostonie, prez. X. Mard; 10) w Altoona, prez. X. Trzetrzyński; 11) w La Crosse, prez. X. Gara.

(Dok. nast.)

Z podróży do Brazylii.

Nadchodzą długie jesienne wieczory, w których pogawędka jest pożądana.

Pragnę z Czcig. Konfratrami podzielić się niektóremi wrażeniami, wprawdzie może nie nowemi dla wszystkich i pogawędzić o mojej podróży do Brazylii, do której udało mi się na krótki czas wybrać po wielu mniejszych i większych przeszkodach. Życie swoje powierzyłem na przeszło 20 dni niemieckiemu parowcowi »Crefeld«, który dn. 25. września opuścił port w Antwerpii. Drogę do Antwerpii wybrałem przez Szwajcaryę, bo chciałem jeszcze raz zobaczyć tę piękną krainę.

Nie będę powtarzał utartego komunału, że kraje zachodnie stoją wyżej od Galicyi. Czystę wioski i miasta, dobre drogi, wzo-

rowe łąki, rosłe krowy i konie, liczne kominy fabryk, oto co każdemu podróżnemu rzuca się tu w oczy.

Gdzież leży głębsza przyczyna tego?

Jeden ze znakomitych mężów stanu w Anglii powiedział, że do ran państwa należy się zbliżać, jak do ran ojca. Zdaje mi się, że w tem zdaniu głębokiem znajduje się rozwiązanie zagadki.

Są mianowicie rządy, które dla rządzonych są troskliwymi i roztropnymi ojcami, ale są niestety i inne.

Proszę posłuchać kilku przykładów. Szwajcarya np. nie wypuści żadnego ze swoich synów za granicę, któryby był analfabetą, nie wiedział, jak i w jakim kierunku ma jechać koleją, nie wiedział wreszcie, jakie warunki pracy i życia czekają go na obczyźnie.

Obywatel takiego państwa jest czemś, co się ma uszanować i czemu ma się usłużyć w razie potrzeby. — Gdzieindziej jest inaczej.....

W Bazylei spotkałem na dworcu jakąś kobiecinę z dzieckiem na ręku, zawodzącą w niebogłosy.

Po stroju poznałem, że musi być z naszych stron i przemówiłem do niej po polsku. Była to Słowaczka, jadąca do Ameryki. Z płaczem opowiedziała, że dwom towarzyszom podróży niby Polakom, oddała swoje tobołki do potrzymania, owi zaś pomysłowi opiekunowie gdzieś się ulotnili jak kamfora wraz z tobołkami. Narobiła przy tem takiego hałasu, że spokojny zwykle portyer wypadł jak bomba na peron ze słowami: »Um Gotteswillen, was ist los?« Wytłumaczyłem mu sprawę i oddałem kobietę w opiekę, gdyż musiałem wsiadać.

Albo zachodzę do katedry w Antwerpii. Przed wielkim ołtarzem na podłodze poklękali kupą nasi Polacy i Rusini, jadący do Ameryki półn. W tem nadchodzi portyer kościelny z długiem berłem i silnie gestykulując, usuwa klęczących. Biedacy nie wiedzieli, że tutaj nie wolno klękać tam, gdzie się komu podoba, bo n. p. w tym wypadku zapchali główne przejście do wielkiego ołtarza. W Galicyi co innego, bo mamy ciasne kościoły, a po trosze i przyzwyczailiśmy się już do tego. Wypchnięci usunęli się wprawdzie na bok, ale nie odważyli się klęknąć na małych klęcznikach, jak to czynili wszyscy inni. Ci inni wszyscy byli porządnie ubrani, niby w Galicyi panowie, a gdzież wieśniakowi pchać się tam gdzie panowie siadają. Dlatego kobiety znowu zbitą masą przykucnęły za grubym filarem, a mężczyźni na ziemi.

Albo trzeci przykład. Jesteśmy w Oporto, w jednym z większych portów portugalskich. Deszcz leje jak z cebra i szaruga taka, że i psa trudnoby było wypędzić z budy. W tem patrzę, z portu wydostaje się na spienione fale duża łódź motorowa i ciągnie za sobą olbrzymią barkę ciężarową. Pewnie towary jakie, myślę i podchodzę bliżej.

Był to wprawdzie towar, ale ludzki, mianowicie wychodźcy portugalscy, którzy z nowej republiki jechali do Ameryki połudn. szukać pracy i chleba. Po największej części ludzie spracowani i wybiedzeni, z których oczu przezierał głód i trud ciężkiej pracy. Dosyć nasi ludzie są biedni, ale ci wydali mi się jeszcze nędzniejszymi.

Spakowano ich jak bydło na łódź i jak bydło pakowano na okręt. Byli wprawdzie na naszym statku urzędnicy portugalscy. Ale nikt z nich nie troszczył się, jak ci obywatele będą mieszkali na okręcie i jakie będą mieli jedzenie.

Jakiś policyant, czy żołnierz, stał u wejścia do okrętu i od każdego domagał się natarczywie jakiegoś arkusza. Biedni ludziska, przemoknięci do nitki, byli ogłuszeni. W rękach trzymali ubożuchne tobołki, po nogach ich deptano i popychano, a tu jeszcze policyant domaga się papieru. Albo te tobołki, rzadko jaki kufer, najczęściej poszewka, lub torba i to łatana, — ot i całe mienie wiezie za morze.

Wśród ogłuszonych emigrantów kręcili się agenci, którzy dostawiali ten towar ludzki na okręt.

Jeśli tedy np. Swajcarya jest dobrym ojcem dla obywatela, sto pytam, jak należy nazwać młodą republikę, która tak obchodzi ię ze swemi dziećmi ?

W Oporto nie wychodziłem na ląd, gdyż lał deszcz i morze, nawet w porcie, było bardzo wzburzone, tak że kapitan obawiał się, aby nie zerwało okrętu z kotwicy.

Ale kiedy przybyliśmy do Lizbony, postanowiłem wysiąść na ląd i wyprostować nogi po kilkudniowej morskiej podróży.

Dnia 2. paźdz. z rana zawinęliśmy do portu lizbońskiego, utworzonego szerokiem ujściem rzeki Tajo.

Na bardzo długiej przestrzeni wzdłuż lewego brzegu rzeki rozłożyła się ta stolica. Licznymi wysokimi budynkami wspięła się na sąsednie góry i wystrzeliła w niebo z jednej strony pałacem byłego króla, a dzisiaj muzeum narodowem, gotyckiemi wieżycami klasztoru św. Hieronima i wieżami kościołów.

Przeważnie żółty i czerwony kolor ścian, na tle zieleni drzew i dwóch błękitów: morza i nieba, składa się na jaskrawy, ale oryginalny obraz. Jednem słowem, Lizbona ze strony morza przedstawia się pięknie.

Zaraz też po spożyciu śniadania wybrałem się z poczciwym młodym Niemcem i klerykiem benedyktyńskim, na zwiedzenie miasta. Wylądowaliśmy łódką tuż koło głównego dworca i dlatego przez dworzec skierowaliśmy się ku miastu. Zdziwieni byliśmy nie mało, że w stolicy państwa taki lichy dworzec. Błoto i brud, ciasnota i nienaprawione dziury — tak dalece, że u nas w Galicyi nie ma pewno nigdzie tak lichego dworca, nasz lwowski jest wzorem czystości i porządku w porównaniu z lizbońskim.

Trochę rozczarowani, idziemy do miasta. Ciepło tak jak u nas w lipcu. Dużo zieleni i kwiatów. Szeroka ulica dosyć czysta. Spostrzegamy, że niektóre domy z zewnątrz od góry do dołu wykładane są kolorowemi kamionkami w piękne desenie. Bardzo to ładnie i czysto wygląda. Myślimy, że jeśli zewnętrzne ściany są tak piękne, to jakież musi być wnętrze? I w istocie, co prawda niedyskretnie, zaglądamy przez otwarte okna do środka. Ale tu spotkało nas nowe rozczarowanie. Pokoje wewnątrz były bardzo licho bielone, brudne i ciasne. I tak wszędzie.

Otworzyły mi się oczy i odsłonił mi się charakter Portugalczyków. We wszystkiem starają się o zewnętrzny szyk, mało dbają o wewnętrzną wartość. Zacząłem rozumieć i inne drobne rzeczy. Oto np. kufry podróżne. Zewnątrz niby blaszane, a blacha kolorowa, lub malowana w pstre kwiaty. Ale robota kufra tak licha, że po kilku silniejszych wstrząśnieniach kufer jest nie do użycia.

Tak jest niestety i z kościołami. Zewnątrz ogromne i bardzo ozdobne, ale w środku taka pustka i golizna ścian, — aż przykro. I księża niestety, — przynajmiej ci, których spotkałem — nie szczególni.

Chcieliśmy dostać świec woskowych (bośmy odprawiali Msze św. na okręcie), żeby mieć prawdziwe, postanowiliśmy kupić je w zakrystyi dużego kościoła. Podchodzi do nas jakiś elegancki, wystrojony ksiądz. Drugi, już ubrany w ornat, patrzy na nas i uśmiecha się dosyć swobodnie.

Dowiadujemy się, że ten ubrany w ornat, to neomista, a drugi miał mu właśnie być »manuduktorem« przy pierwszej Mszy św. Dziwnie przykre wrażenie wywarł na nas ten neomista, który z tego rodzaju skupieniem zabierał się do pierwszej Mszy.

W kościele przed ołtarzem klęczało parę babek, — ani jednego mężczyzny. Przygnębieni opuściliśmy kościół i idziemy przez miasto. Sklepy a raczej sklepiki wstrętnie brudne, małe i cuchnące. Zapuszczamy się do dolnego miasta w ciasne uliczki, ale tu taki brud i zaducha, że co żywo uciekliśmy i szerszą ulicą wróciliśmy do dworca.

Tak więc na całej Lizbonie odbił się charakter narodu. Od strony morza ładna stolica, — zblizka oglądana, biedna, ciasna i brudna.

Miejmy nadzieję, że nowa republika nie wiele dokona trwałych dzieł. Obecnie świeżo upieczeni republikanie odznaczają się gwałtowną nienawiścią do księży, a zwłaszcza do zakonników. Kapitan okrętowy poradził nam, abyśmy pojechali do Lizbony w świeckiem ubraniu, gdyż inaczej może nas spotkać zniewaga. I dobrze nam poradził, bo z tego, jak się zachowali Portugalczycy wobec księży na naszym okręcie, mamy przedsmak tego, coby nas spotkało w Lizbonie.

Najpierw strasznie krzywili się, że muszą z sutannami siedzieć przy stole. Potem w wychodku (sic!) okrętowym zaczęły się pojawiać zjadliwe wiersze na duchowieństwo.

Nie lepiej zachowali się i podróżni III kl. Gdy nas zobaczyli, słyszałem głosy: »kra, kra, kra.....« jakby chcieli powiedzieć: »witajcie nam czarne kruki«.

Są to oczywiście zbałamuceni maluczcy. Rząd portugalski posprawiał najbiedniejszym z biednych pstre czapki frygijskie, aby i w ten sposób był szych republikański.

Może jednak nie bardzo należy się obawiać republiki z takim charakterem.

Madejra.

Miłej niespodzianki doznaliśmy na wyspie Madejrze, do której zawinęliśmy 5. października. Wyspa ta należy do Portugalii i jest położona na wysokości Sahary. Będąc jednak otoczona morzem, ma dużo wilgoci i klimat krajów gorących. Np. 5. października mieliśmy przeszło 25° R w cieniu. Na słońcu łagodzi gorąco powiew morski i wysokie góry, w jakie cała wyspa wystrzeliła.

Choć to była pierwsza rocznica republiki i ulice przybrane były chorągwiami i zielenią, a sklepy pozamykane, to jednak i w katedrze duży ołtarz był bardzo gustownie ubrany zielenią i spora liczba modlących się. Na ulicy wszyscy zdejmowali przed nami czapki z wyjątkiem naturalnie surdutowców.

Kościoły, które zwiedzaliśmy, bardzo schludne; ołtarze czyste; wprawdzie święci poubierani w kolorowe szaty, a Matka Najśw. ma na głowie nawet sztuczne włosy, ale to już taki zwyczaj południowców.

Dla mnie, syna północy, dla którego dotychczas najdalszym krajem południowym był Neapol i jego okolica, Madejra była krajem wyśnionym z bajki. Zapomniałem oczywiście, że jest październik, jakoteż o tegorocznych szarugach w Galicyi.

Jakżeż nie zapomnieć? Oto ze wszystkich stron śmiały się do nas duże palmy, zwłaszcza paprociowe. Rozłożyste klony nurzały w słońcu żywą zieleń swych liści. Olbrzymie kasztany jadalne przepełnione zielonym jeszcze owocem.

Z ogrodów wyzierały do nas dojrzewające figi, banany, gruszki, aprykozy i soczyste melony, wyrosłe w duże ciemne aleje. Powałę tej alei tworzy gęsta sieć zwisających melonów. Niedobrze wyszedłby przechodzący przez taką aleję, gdyby oderwany melon spadł mu na głowę.

Wśród drzew, gdzie tylko można, wepchnęły się przeróżne kwiaty. Wspaniałe herbaciane i białe róże powpełzały aż na mury ogrodowe i pachnącym kwiatem obsypały kamienie.

Wśród róż całe morze innych kwiatów; nie brak nawet naszego barwinku, tylko że tutaj jest on z 5 razy większy i ma śliczne kwiaty. Przykucnął pod murem wśród olbrzymich fiołków i dziwi się, że w tym zakątku tak ciągle słońce świeci.

Gdyśmy wyszli w góry, gdzie z szumem spadały cienkie strumyki górskie, wśród świeżej zieleni i śpiewu ptasząt, wydało mi się, że jesteśmy wśród naszej późnej wiosny. Ale patrząc znowu na dojrzewające owoce, należało przyjąć, że to lato. Prawdopodobnie przez cały Boży rok miesza się tutaj wieczna wiosna z latem.

Dziwna rzecz, że w tym ciepłym zakątku nie ma prawie wozów, a cała komunikacya odbywa się sankami. Drogi bowiem tutaj są bardzo strome i tak z góry jak i pod górę niepodobna użyć wozu. Do góry ciągną sanie woły, z góry zaś tubylec, jedną nogą stoi z tyłu na sankach, a drugą odbija się od ziemi. Sanki mkną chyżo, lecz taka jazda nie dla każdego może być bezpieczną.

Nie używaliśmy i my tych sanek, bośmy dosyć wysiedzieli się na okręcie. Puściliśmy się w górę piechotą i idąc ciągle wśród zielonych drzew, kwiatów, schludnych domków i szumiących strumyków, doszliśmy do małego kościółka na samym prawie szczycie. Kościółek otoczony dużym i starannie utrzymanym ogrodem kwiatowym. Po schodach weszliśmy do środka. Bardzo tu czyściutko i cicho. Przed trzema ołtarzami płoną lampy. Jakiś dziad staruszek, zwabiony nadzieją jałmużny, przyszedł za nami aż do kościoła, a przed kościołem znowu czekali na nas właściciele sanek.

Pomodliliśmy się przed Najśw. Sakramentem a wychodząc z kościoła, spostrzegłem napis na górze nad wejściem do nawy: »Levavi oculos meos in montes, unde veniet auxilium mihi«. Istotnie te piękne góry, okryte wieczną zielenią i kwiatami, gdzie z jednej strony wzrok gubi się w bezbrzeżnem morzu, a z drugiej w lazurze nieba tak, że trudno rozpoznać, gdzie kończy się morze, a gdzie zaczyna się błękit niebios, napawają duszę dziwnem ukojeniem, a z serca wyrywa się dziękczynna modlitwa.

A i żeglarz, miotany burzą, z tęsknotą zwraca oczy, czy nie dojrzy tych gór, które mu zwiastują port bezpieczny i odpoczynek.

Wracając z wycieczki zmęczeni i głodni, wstąpiliśmy na pokrzepienie do przydrożnej winiarni. Ponieważ parę słów portugalskich umiałem, objąłem rolę zamawiającego ser, chleb i wino. Wyszynkarz dał nam litr znakomitego wina »Madejra« za mniejwięcej 1 koronę. Wychyliliśmy prędko jedną małą szklankę, a potem drugą, bo zdawało się nam, że wino wprawdzie jest mocne, ale znowu nie tak bardzo. Dopiero po drugiej kolejce poznaliśmy, że to nie przelewki: wszystkim nam zaczęło być nijako w głowie i z trwogą myśleliśmy, jak będziemy szli przez miasto. Zabraliśmy się do sera i chleba, porozmawialiśmy sporą chwilę i jakoś cało i prosto wróciliśmy do łódki — która nas wkrótce odwiozła do statku.

Z Madejry płynęliśmy ciągle dniem i nocą przez 10 dni.

Dnie tej podróży morskiej upływały nam dosyć monotonnie.

Rzuconym na niezmierny obszar oceanu „sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem" (Słowacki), całem urozmaiceniem był statek, zjawiający się na widokręgu, lub ryby, wychylające się z toni.

W dnie pogodne biegła za słońcem oślepiająca smuga. A wieczorami, kiedy księżyc wypłynął na niebo, wybiegałem na pokład. Księżyc lał strugi srebrnego światła na fale. Gdzie padły blaski księżyca, tam fale zapalały się białem światłem. Z ich głębi dobywały się jakby przyciszone bicia dzwonów i zdawało się, że Zbawca po raz wtóry zstąpi na fale.. Usta składały się do cichej modlitwy: »Witaj Zbawicielu, witaj słodka Maryo!...«

To znowu zrywał się gwałtowny wiatr, bałwany morskie wściekały się, z rykiem uderzały o statek i kilkumetrową pianą buchały na dolny pokład.

Maszyna okrętowa pracowała bez odpoczynku, a z jej olbrzymiej pracy słyszeliśmy tylko miarowe stękanie, jakby duszono jakiego olbrzyma. Okręt drżał, przechylał się z boku na bok, pruł dziobem nadpływające bałwany, nurzał się w nich cały i nieugięty posuwał się naprzód.

Stawałem na brzegu okrętu i patrzyłem w toń morską. Ale nie długo, bo taka bezdeń otwierała się przedemną, z taką siłą napływały nowe góry wody, że zdało mi się, że tracę grunt pod nogami, chwila.. a spieniona toń porwie mnie za sobą. Uciekłem tedy do środka statku, aby tylko nie patrzeć na te bezdenne przepaści.

Najniespokojniejszą noc mieliśmy 28. września. Już przy kolacyi talerze i szklanki latały jak opętane. W nocy nie podobna było zasnąć. Wychylenia statku były tak gwałtowne, że kufry, trzewiki i co tylko nie było silnie przymocowane, spacerowało po kabinie. Brzęk szklanek, płacz dzieci i wściekły ryk fal napełniały powietrze. Jednej pani spadająca karafka rozbiła czoło a mój towarzysz, chcąc wejść do kabiny, tak się grzmotnął o drzwi, że mu zaraz wybiegł na czoło guz okazały.

Rano trudno było się ubrać, bo wszystko z rąk uciekało. Nie mało trzeba było cierpliwości, aby włożyć skarpetki i trzewiki. Wybiegłem na pokład. Mało bardzo podróżnych, a i ci jak gruszki zesuwają się na brzeg statku. Przy stole z całego towarzystwa zjawiło się nas 3 księży i jeden kleryk. Reszta chorowała, myśmy jakoś wyszli cało. Wkrótce wiatr ustał i znowu zaczęły się dnie pogodne.

Przy zbliżaniu się do równika upał wzrastał coraz bardziej. We dnie wyszukiwano miejsc najwięcej zacienionych. Obiady i kolacye podawano na pokładzie. Najwięcej jednak dawały się we znaki noce.

W kabinach powietrze było bardzo duszne, wolałem więc spać na pokładzie.

Często jednak stawałem na brzegu pokładu i spoglądałem to na niebo zasiane gwiazdami, to na ciemne morze. Szukałem znanych mi gwiazd. Nasza wielka niedźwiedzica coraz bardziej chyliła się do nieboskłonu, aż zniknęła zupełnie. Za to pojawiały się nowe gwiazdy na nowem niebie. Czasem przeleciała przed okrętem spadająca gwiazda i utonęła w morzu.

Odrywałem zwrok od nieba i zniżałem ku wodzie. I tutaj spostrzegałem cały rój małych okrągłych gwiazdek. Nie gwiazdki to, ale iskry elektryczne, wywołane tarciem fal. Nazywają to »świeceniem morza«.

O godz. $4^{1}/_{2}$ rano my księża wstawaliśmy, aby Mszę św. odprawić w czytelni okrętowej. O godz. 6. rano sala musiała już być wolna. Kiedy okręt chwiał się, wówczas jeden z księży przytrzymywał kielich, a drugi odprawiał.

Księża z Kongregacyi Najśw. Rodziny, udający się na misye do Ameryki, mieli ze sobą podróżny ołtarz, bardzo dowcipnie urządzony. Wyglądał z wierzchu jak zwyczajny średni kufer, który jeden człowiek łatwo może unieść. W kufrze były dwa ornaty: jeden biały i czerwony z odwrotnej strony, drugi czarny i fioletowy; kielich z pateną pozłacany; mała mensa z relikwiami, komża i wszystkie przybory do Mszy św.; nawet naczyńka ze św. olejami.

Otworzony kufer jest równocześnie ołtarzem. Po Mszy skończonej wszystko da się napowrót wygodnie schować, zamknąć i zabrać do kabiny. Kufer jest skórzany i kosztuje ze wszystkiem około 300 franków.

Księża ci mieli także małe harmonium o bardzo miłym głosie w kształcie małego płaskiego kufra drewnianego. Całe to harmonium, bardzo wygodne do przenoszenia, kosztuje w Paryżu 175 franków. Adres: J. J. Gebhardt; Paris VI. Rue de Rennes 55. L'Orgue-Coffret.

Latające rybki nasuwały przypuszczenie, że już jesteśmy niedaleko równika. Jakoż dnia 13. października przepłynęliśmy równik. Dzień ten uroczyście obchodzono. Koło południa chrzczono, kto się tylko nawinął, sposobem naszego śmigusa, tylko bardzo dokładnie, tak, że na niektórych po takim chrzcie nie zostało suchego rąbka. Wieczorem pokład ubrano flagami i lampionami, był koncert (niestety na gramofonie), odświętna kolacya, a po kolacyi tańce.

X. Dr. Antoni Ratuszny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Bibliografia.

Ks. Dr. Józef Lubelski, **Chrystus i grzesznicy**. Tarnów, Z. Jeleń, 1913, z 12 rycinami, str. 106, cena 3 kor.

W książce niewielkiej rozmiarami, ale wielkiej myślą przewodnią, przedstawia nam autor zasadniczy rys Bożego Serca, Jezusa Chrystusa, rys, który najpotężniej oddziaływa na serca ludzkie, który najlepiej koi rany grzesznika i który na zawsze pozostanie potęgą niezłomną w pracy nad odrodzeniem się ludzkości, bo nazwa jego to miłość i dobroć, a dzieła, podjęte w miłości i dobroci, trwają na wieki. Autor przedstawia nam ten rys w charakterze Chrystusa w stosunku do grzeszników, gdzieby tej miłości i dobroci, mówiąc po ludzku, najmniej spodziewać się należało a przedstawia z głębokiem przekonaniem, językiem prostym, ale pięknym i szlachetnym; często czyni zastosowania do dzisiejszych czasów, a w ten sposób toruje drogę duszom oziębłym i jęczącym pod ciężarem grzechu do Serca Zbawiciela, który zawsze z tą samą miłością i dobrocią szuka dusz tych, który, jak zawsze, tak szczególnie dzisiaj, w tych czasach ogólnego pesymizmu, niezadowolenia i smutku, w Sercu swem pragnie otworzyć biednej ludzkości skarby miłości i dobroci, aby tę ludzkość podnieść i uszczęśliwić. Dlatego książka ta może złamanych i upadłych na duchu podźwignąć, jeżeli tylko zawrócą ze złej drogi a z całą ufnością powierzą się miłości i miłosierdziu Dobrego Pasterza. Autor rozwija także pośrednio ten sam zasadniczy program, który ogłosił Jezus Chrystus, którym znaczyli swój pochód przez wieki wielcy i święci mężowie, który i obecny Namiestnik Chrystusa na ziemi przyjął jako podstawę »odrodzenia wszystkiego w Chrystusie«, a na program ten składają się tylko dwa wyrazy, to jest — miłość i dobroć. Dzisiaj ludzkości nie brakuje wiedzy i kultury materyalnej, ale brakuje jej serc wielkich i szlachetnych, brakuje jej pięknych i szlachetnych charakterów, które wyrabia miłość ku Bogu i bliźnim. Dlatego programem pracy na wiek XX. niech będzie miłość i dobroć, bo ona nadaje wiekom kierunek i ma prawo do nieśmiertelności. Okażmy całej ludzkości tę nieskończoną miłość Chrystusową, która dla niej goreje w jego Najsłodszem Sercu, bo tego pragnie przecież On sam, by wszyscy poznali to serce, które tak bardzo ukochało ludzi, wzbudźmy w sercach wszystkich zapał i podziw dla Osoby Chrystusa, starajmy się sami być żywym wyrazem tej miłości i dobroci dla wszystkich, a wtedy pozyskamy wszystkich dla Chrystusa, bo miłości nic oprzeć się nie zdoła, bo ona jest potęgą, która kruszy serca.

Książka ta nie tylko uwzględnia ten program, lecz także jest jego silnym wyrazem. Szczególnie dla młodzieży, rwącej się do ideałów, może ta książka być cennym drogowskazem, gdzie ma szukać prawdziwego ideału, komu ma poświęcić swą miłość. Gdy jeszcze i to dodamy, że wydanie książki odpowiada jak najlepiej wymaganiom estetycznym i że ją zdobi dwanaście bardzo pięknych rycin, które przedstawiają sceny z życia Jezusa Chrystusa, dojdziemy do wniosku, że autor obdarzył nas książką bardzo dobrą i godną polecenia. Niech się więc szeroko rozejdzie, nich trafi do wszystkich ludzi dobrej woli i niech czyni jak największe zdobycze dla królestwa Najśw. Serca Chrystusowego!

X. Dr. Franciszek Paryło.

Jesus Christus. Apologetische Vorträge auf dem II. theologischen Hochschulkursus zu Freiburg im Breisgau im Oktober 1908, gehalten von Prof. Dr. **Karl Braig**, Prof. Dr. **Gerhard Esser**, Prof. Dr. **Gottfried Hoberg**, Prof. Dr. **Corn. Krieg** und Prof. Dr. **Simon Weber**. Zweite, verbesserte Auflage. Duża 8a (VIII i 582) Freiburg u. Wien 1911, Herdersche Verlagshandlung. M. 6·50; K. 7·80 opr. w skórkę M. 7·70 K. 9·24.

Walka o treść religii to w gruncie rzeczy spór o Bóstwo Chrystusowe, o Boskość Jego nauki i o to, czy Kościół katolicki czyli też inne stowarzyszenia religijne głoszą wiernie prawdy przez Niego objawione. Z temi zagadnieniami związane jest ściśle pytanie, dotyczące wiarygodności Ewangelii, której zaprzecza im długi szereg krytyków mniej lub więcej uczonych. To też trzeba poczytać za wielką zasługę prelegentom drugiego kursu teologicznego w Fryburgu badeńskim, że Osobę i działalność Zbawiciela uczynili punktem środkowym swoich odczytów, odznaczających się gruntownością i głębokiem ujęciem rzeczy. Dr. Hoberg mówi tu o „historycznym charakterze czterech Ewangelii", Dr. Weber o »Bóstwie Chrystusowem według świadectwa Pisma św.«, Dr. Braig o »Jezusie Chrystusie po za Kościołem katolickim w wieku dziewietnastym« Dr. Esser o »dogmacie chrystologicznym z uwzględnieniem rozwoju dogmatyczno-historycznego« — Dr. Krieg o „Jezusie Chrystusie — Prawdzie, Drodze i Żywocie". »Dodatek« zawiera dwa odczyty o kwestyi modernizmu (Hoberg'a i Braig'a).

Odczyty te dostarczają obrońcom wiary obfitego zasobu wybornych argumentów wartości prawdziwie naukowej, które oświetlają »ogromną iluzyę« teologicznego »liberalizmu« i bezpodstawność teoryi Harnack'a, Loisy'ego, Jülicher'a i towarzyszy. Mogą więc z nich bardzo dużo korzystać nie tylko teologowie, ale i świeccy, posiadający wykształcenie potrzebne do zrozumienia zawartych tu wywodów.

X. A.

Barbara Żulińska. **Mały Jezus. Legendy i opowiadania z dzieciństwa Chrystusa Pana z illustracyami**. Lwów 1912. Nakładem księgarni Zienkowicza i Chęcińskiego. Warszawa Gebetner i Wolf. Stron 94 w dużej 8-ce i 9 kart z obrazami, w ozdobnej oprawie.

Jak już tytuł wskazuje, opowiada ta książka o Dziecięciu Jezus; zawiera 20 rozdziałów, a przeznaczona jest dla polskich dzieci. Choć same legendy nie są oryginalne, lecz opracowaniem części legend X. Hołowińskiego (»Dzieciątko Jezus«, Wilno 1846) i »Rozmyślań o żywocie P. Jezusa« z rękopisu grecko-katolickiej kapituły przemyskiej (wyd. Al. Brückner, nakł. Akademii Umiejętności 1907), to jednak opracowanie to jest osobliwe i mistrzowskie. Widać, że Autorka ukochała dziecię i że zna dobrze duszę jego; opowiada językiem przystępnym, stylem jasnym i przejrzystym, jakim zwykła rozmawiać matka z małem dzieckiem. Książka bardzo pouczająca, wolna od frazesów bez treści lub banalnych obrazów, wszystkie określenia w niej łatwe, do pojęcia umysłów dziecięcych zastosowane. Spotykamy tam Dziecię Jezus w towarzystwie rodziców i rówieśników, w domu, w kościele, na polu, przy modlitwie, pracy i zabawie, a każdy krok Jego pociągający, każde słowo Jego słodkie, pełne miłości Boga i ludzi. P. Jezus zawsze dobry, dojrzał i smutek lilijki i nieszczęście bliźniego i łzy towarzysza „bo On zawsze dostrzegł łzy i ból". Legenda »Dobry Syn« starczy za kazanie o przymiotach dziecka dobrego,

ó posłuszeństwie, wdzięczności, miłości, pilności, koleżeństwie i wesołości. Wszystkie opowiadania o „Małym Jezusku“ są żywe i zajmujące a przeplatane rozmówkami z dziećmi, Te nauki i rozmówki są jednak zgrabnie w opowiadanie wplecione tak, że nie nużą a spełniają cele zachęty lub przestrogi. Przebija z nich niekiedy nuta patryotyczna, lecz nie namiętna, ale zawsze spokojna i rzewna. Pouczenia moralne są bardzo praktyczne, np. „jak to przyjemnie zrobić komuś dobrze“, nie pozwolić płakać nikomu, nie dręczyć zwierząt, „bo dobre dziecię nie dokucza bezbronnemu stworzeniu, ale przeciwnie broni go w niebezpieczeństwie“ i t. d. Dziecię Jezus uczy przykładem swoim cnót wszystkich, ufności w Bogu i odwagi (str. 76.), miłości bliźnich, nawet nieprzyjaciół (str. 81), zrzeczenia się niekiedy zabawy, by dopomódz innym w pracy (str. 74), zapomnienia uraz (88). P. Jezus wyręcza rodziców w pracy, nigdy nie zasypia bez pożegnania się z nimi, razem z nimi się modli, a w modlitwie swojej pamięta o wszystkich. Zwłaszcza te różne modlitwy Dziecięcia Jezus są tak proste i rzewne przy bogactwie treści. Zachwyt dla Bożych cudów w przyrodzie wyraża się na każdej niemal stronicy książki, a świętość Syna Bożego, w niej przedstawiona, nigdy nie jest surowa, zawsze jasna, promienna, pociągająca.

Matka Najśw. występuje w tych legendach jako lekarka, pocieszycielka, orędowniczka, św. Józef jako kochający opiekun.

Książkę zdobią piękne reprodukcye z najlepszych malowideł, druk duży, bezbłędny.

Legendy zachwycą dzieci, zbudują i starszych. Oby takich więcej ! *X. St. Żukowski.*

Tadeusz Nusbaum-Hilarowicz, **Zarys austryackiego prawa administracyjnego** jako repetytoryum do rządowego egzaminu politycznego. Lwów 1911.

Tytuł powyższy odpowiada w zupełności treści tej książeczki. Autor przedstawił w niej bowiem tylko zarys przedmiotu, podając tylko najważniejsze przepisy, a przytem zajmował się przedmiotem tylko w tych granicach, do których sięgają mniej więcej ustalone wymogi przy rządowym egzaminie z umiejętności politycznych. O książeczce tej zamieszczamy wzmiankę, ponieważ jest ona wprawdzie przeznaczona przedewszystkiem dla młodzieży uniwersyteckiej, ale może również oddać usługi tym wszystkim wogóle, którzy chcą bądź to poznać, bądź też przypomnieć sobie najważniejsze daty ustaw i najważniejsze postanowienia z tych dziedzin austryackiego prawa administracyjnego, które autor objął swym podręcznikiem. Dla celów przypomnienia sobie i szybkiego powtórzenia tych dat i przepisów nadaje się ta książeczka szczególnie ze względu na swój przejrzysty układ. N.

Nowe rubryki.

12. Fer. 5. De 5. die infra Oct. Immac. Concept. sdx. c. a. — Lect. 1. Noct. de Scr. occ. rel. ut in festo et pr. loc. com. fer. — Vesp. de seq. (ut in Comm. Ant. et or. pr.) 1. com. Oct. 2. fer. — Compl. de feria.
13. Fer. 6. S. *Luciae* V. M. dx. c. r. — Ad Mat. omn. de Comm. et pr. loc. Lect. 1. Noct. »De Virginibus«. — Ad Laud. Pss. de Dom. rel. de Comm. et pr. loc. com. Oct. et fer. — Ad Hor. omn. de fer. a cap. de Comm. — In Vesp. (de Comm. et pr. loc.) 1. com. Oct. (ut in 1. Vesp.) 2. fer. — Compl. de fer.
14. Sabb. De 7. die infra Oct. Immac. Concept. sdx. c. a. — Offm. ut notat. die 12 hjs. — Vesp. de seq. Dom. (Ant. de Laud. Pss. de Sabb. rel. pr.) com. diei Oct. (ut in 1. Vesp. festi). — Compl. de feria.
15. *Dom. III. Adventus.* 2 cl. *De ea*, sdx. c. vid. — Ad Mat. omn. de Dom. et pr. loc. Ad Laud. Pss. de Dom. rel. pr. loc. com. Oct. — Ad Hor. Pss. de Dom. rel. pr. loc. (Symb. Athan. omittitur). — Vesp. de Dom. (pr. loc.) com. seq. et Oct. — Compl. de Dom.
16. Fer. 2. *S. Eusebii* E. M. sdx. c. r. — Ad Mat. Invit. Hymn. et Resp. de Comm. (8. Resp. »Domine«). Ant. Pss. et Vers. de fer. Lect. 1. Noct. de Scr. occ. 2. et 3. Noct. pr. loco. Ad Laud. omn. de fer. a cap. de Comm. com. fer. — Ad Hor. omn. de fer. (Ad Pr. Prec.) a cap. de Comm. — In Vesp. Ant. et Pss. de fer. a cap. de Comm. com. fer. — Compl. de fer. et Prec.
17. Fer. 3. *De ea*, splx. c. viol. — Omn. de fer. et pr. loco. Ad Laud. (Pss. ut in II. schemate) et Hor. Ant. »Rorate coeli«, ad Bened. Ant. »Tu Bethlehem«. — Ad Laud. et omnes Hor. Prec. ferial. — Vesp. de seq. (pr. loc. in App.) com. fer. (Ant. »O Sapientia«). — Compl. de Dom. (Doxol. pr.).
18. Fer. 4. IV. Temp. *Exspectatio Partus B. M. V.* Dx. c. a. — Offm. pr. loc. in App. — In III. Noct. leguntur Lect. de Hom. fer. cum Resp. de festo. — Ad Laud. Pss. de Dom. rel. pr. loc. com. fer. — Ad Hor. Pss. de Dom. (Ad Pr. Vers. Resp. br. »Qui venturus«) rel. pr. loco. — In Vesp. (pr. loc.) com. fer. Ant. »O Adonai«. — Compl. de Dom.
19. Fer. 5. *De ea*, splx. c. viol. — Offm. de fer. et pr. loco. Ad Laud. (Pss. ut in II. schemate) et Hor. Ant. »De Sion«, ad Benedict. Ant. »Vigilate«. — Ad Laud. et omn. Hor. Prec. ferial. — Vesp. fer. 5. Ant. ad Magnif. »O Radix« et Prec. fer. Compl. de fer. et Prec.
20. Fer. 6. (IV Temp Vigilia). *De ea*, simplx. c. viol. — Offm. de fer. et pr. loco. Ad Laud. (Pss. ut in II. schemate) et Hor. Ant. »Constantes«. — Ad Bened. Ant. »Ex quo«. — Ad Laud. et Hor. Prec. ferial. — Vesp. de seq. (de Comm. Ant. et or. pr.) com. fer. Ant. »O clavis«. — Compl. de Dom.
21. Sabb. (IV. Temp.) *S. Thomae* Ap. dx. 2. cl. c. r. — Offm. de Comm. et pr. loco. Lect. 9. Hom. fer. — Ad Bened. Ant. pr.) com. fer. Ant. »Nolite timere«. — Ad Hor. Pss. de Dom. rel. de Comm. — In Vesp. (de Comm. Ad Magnif. Ant. pr.) com. Dom. Ant. »O Oriens«. — Compl. de Dom.
22. *Dom. IV. Adventus.* 2. cl. *De ea*, sdx. c. viol. — Ad Mat. omn. de Dom. et pr. loco. Ad Laud. et Hor. (ad Pr. Prec.) Pss. de Dom. rel. pr. loco. — Vesp. de Dom. (pr. loc.) ad Magnif. Ana. »O Rex« (quae duplicatur). — Compl. de Dom. et Prec.
23. Fer. 2. *De ea*, simplx. c. viol. — Omn. de fer. et pr. loco. Ad Laud. (Pss. in II. schemate) et Hor. Ant. »Ecce veniet«. Ad Bened. Ana. »Ecce completa«. — Ad Laud. et Hor. Prec. ferial. — Vesp. de fer. (Ad Magnif. Ana. »O Emmanuel«), et Prec. ferial. — Compl. de feria et Preces.
24. Fer. 3. *Vigil.* Nativitatis Dni. *De ea*, simplx., c. viol. — Offm. de fer. et pr. loco. Ad Laud. et Hor. Ant. pr. ritu dupl. Pss. de Dom. — Vesp. de seq. (pr. loc). — Compl. de Dom.
25. Fer. 4. *Nativitas D. N. J. Chr.* dx 1. cl. cum Oct. c. a. — Offm. pr. Ad Laud. et Hor. Pss. de Dom. rel. pr. — In Vesp. (pr. loc.). 1. com. seq. 2. OO. SS. Mm. — Compl. de Dom.

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyecezya lwowska ob. łac.

We czwartek 12-go b. m. odbędzie się *wspólna adoracya N. Sakramentu* w kościele *OO. Dominikanów* we Lwowie *o pół do 6-tej wieczorem.*

Dyecezya krakowska.

Zmarł X. Marceli Klimkiewicz, dziekan i proboszcz w Tarnawie Dolnej, w 66 r. życia, a 42 r. kapłaństwa. *R. i. p.*

Z prasy peryodycznej.

Treść grudniowego zeszytu ***Miesięcznika Katech. i Wychowawczego:*** Kilka uwag o działalności katechety jako duszpasterza (X. J. Wątorek). — Z powodu artykułu »O stosunku katechetów do duchowieństwa parafialnego« (X. N. i X. Wątorek). — Uwagi krytyczne do prawideł modlitwy p. Abramowskiego w »Przeglądzie Filozoficznym« (X. J. Richter). — Egzorta na Niepok. Poczęcie N. Panny Maryi (X. C.) — Egzorta na IV. niedz. Adwentu

(X. Ż. Bielawski). — Ęgzorta na urocz. Imienia Jezus. (X. Dr. J. Lubelski. — Wielka tajemnica (katecheza). — Alkohol uwodziciel (katecheza). — Nowe książki. — Nominacye i wiadomości osobiste. — Treść rocznika II.

Spis rzeczy pomieszczonych w **Ateneum Kapłańskiem** za listopad 1912 r.: Rozprawy: X. Dr. P. Szczygieł, Zarys strofiki hebrajskiej, I. Edward Winkler, Skarga o prawie i wymiarze sprawiedliwości, X. J. Bączek, Anomizm J. M. Guyau (pocz.).

Sprawy religijne: Sprawy religijne polskie, Dr. Kazimierz Lubecki, Z Krakowa: obchody Skargowskie, 343; obchód Eucharystyczny, 344; obchód krzyżowy, 344; poświęcenie sztandaru dla związku rękodzielniczego, 344; nabożeństwa różańcowe, 345. Sprawy religijne zagraniczne: X. Jan Szmigielski, Rzym: Obchód 1600-ej rocznicy zwycięstwa Konstantyna, 345. Niemcy, VII. kongres syndykatów chrześcijańskich, 346; następca kardynała Fischera, 347. Holandya: II. międzynarod. kongres wychowania moralnego, 348. Bułgarya: Stan katolicyzmu, 349. Czarnogórze: Stan katolicyzmu, 349; Rumunia: Stan katolicyzmu, 349. Serbia: Stan katolicyzmu, 349. Turcya: Katolicy w Turcyi, 350.

Ruch społeczny. Sz. j. Z Warszawy: Po wyborach, 351; Żydzi i my, 351; »Gazeta Poranna«, 352; ku odżydzeniu, 352; przesilenie w ruchu społecznym, 352; »Merkury«, 352; X. A. L., Z Poznania: Opieka nad wychodźcami, 353; utożsamianie pracy społecznej z polityczną, 353; wywłaszczenie, 353. W sprawie Związku Stowarzyszeń Spożywczych i hurtowni.

Poradnik: X. J. Kruszyński, Czy nie można na mocy Mt. 5, 32 twierdzić, że propter causam fornicationis rozwód jest dozwolony; X. Antoni Szymański, Jakie istnieją przepisy prawne, dotyczące używania języka polskiego w biurowości instytucyi katolickich i w aktach stanu cywilnego. Recenzye. Notatki bibliograficzne. Przegląd czasopism.

Z lwowskiego Koła XX. Katechetów.

D. 11-go b. m będzie mówił X. Dr. Szydelski o dziele Essera i Mausbacha p. n. »Religion, Christentum, Kirche«.

Nadesłane.

„Enrilo“ wolny od kofeiny, środek zastępujący kawę, wyrabia się z surowca krajowego, jest wyrobem krajowym. Patrz dział inseratowy dzisiejszego numeru.

Ogłoszenia.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Ks. Dr. Aleksander Pechnik.** Z drukarni J. Chęcińskiego we Lwowie, ul. Leona Sapiehy l. 77. (dom własny).